SOBOTA 24 V 1980 Nr 61 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

- **Święto Książki, Prasy Młodzieżowej i Sportowej**
- **Dla Was! Dla Waszych przyjaciół, dla Waszych rodziców**

SPOTYKAMY SIĘ W TARNOWIE

Majowe spotkania z książką i prasą młodzieżową stały się już tradycją. W tym roku święto odbędzie się na ziemi tarnowskiej. Od 26 maja do 1 czerwca odbywać się będą imprezy sportowe, festyny, jarmarki, koncerty spotkania z czytelnikami oraz wystawy. W bogatym i atrakcyjnym programie święta każdy – od przedszkolaka do ojców miasta – może wybrać sobie imprezy, które go szczególnie zainteresują, a na które zaprasza Młodzieżowa Agencja Wydawnicza oraz Gospodarze i organizatorzy święta w Tarnowie.

„Świat Młodych", jedna z gazet wydawanych przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą, spotka się w tych dniach ze swoimi Czytelnikami na imprezach w Tarnowie i Warszawie.

Zapraszamy! Do zobaczenia w przyszłym tygodniu!

Wesołej zabawy razem z nami!

Na stronie 5 tarnowskie nastolatki piszą o swoim mieście, jego problemach i o sobie. Znajdziecie tam również program imprez Dni Książki, Prasy Młodzieżowej i Sportowej.

Fot. **J. Łopuszyński**

MAMA

właśnie ta pani w szarym palcie
z siatką u nogi na przystanku
jedna z milionów spieszy do mnie:
równania z jeszcze niewiadomą
w którym
odejmuje sobie od ust
dzieli zmartwienia
mnoży uśmiechy
dodaje odwagi
licząc na wynik tego rachunku

J. GOSTKOWSKI

Nie zapomnij! 26 maja Dzień Matki

Odpowiadamy na apel

Szefa Klubu Przyjaciół

m/s „Leonid Teliga"

SUROWCE WTÓRNE I LOTERIA FANTOWA NA „DAR MŁODZIEŻY"

Nasz szczep imienia Tadeusza Kościuszki przy Szkole Podstawowej nr 1 w Tarnowie postanowił włączyć się do akcji budowy następcy „Daru Pomorza". W tym celu ogłosiliśmy zbiórkę surowców wtórnych. Ale tego nam było za mało. Po długich namysłach w radach drużyn, spośród wielu innych, wybraliśmy projekt zorganizowania loterii fantowej. Przygotowania trwały dwa tygodnie. W tym czasie uczniowie ze starszych klas wykonywali różne fanty a młodsi, przynosili swoje zabawki, często były to ich ulubione maskotki. Loteria przyniosła nadspodziewane wyniki. Już wpłaciliśmy na konto budowy „Daru Młodzieży" 1500 zł. A sądzimy, że uzbieramy wkrótce drugie tyle.

Myślimy, że może niektórzy z nas w przyszłości będą pływać na tym żaglowcu. Morze znamy na razie z wycieczek, kolonii letnich i obozów.

Elżbieta Świeca

Potwierdziła komendantka szczepu: Barbara Koziara

Fot. **J. Łopuszyński**

UWAGA! CZERWONY KUR

POZNAŃ (HSI). Komenda Wojewódzka Straży Pożarnych w Poznaniu przy współudziale Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz Zarządu Wojewódzkiego ZOSP ogłosiła konkurs „Na najlepszą gazetkę o tematyce pożarniczej" wśród młodzieży szkół podstawowych woj. poznańskiego.

Zadaniem uczestników konkursu było wykonanie gazetki ściennej, tematycznie związanej z ochroną przeciwpożarową. Gazetki te eksponowane były w szkołach w miejscach ogólnie dostępnych. W interesujący sposób przedstawiono działalność Młodzieżowych Drużyn Pożarniczych, popularyzowano zawód strażaka, przestrzegano przed tragicznymi skutkami pożaru.

Gazetki robione były na różne sposoby; w formie plansz, kalendarzy, notatników strażackich i kronik.

SFILMOWANO PRACĘ NASZYCH RYBAKÓW

SZCZECIN (PAP). Ostatnio powstał dokumentalny film o świnoujskim Przedsiębiorstwie Połowów Dalekomorskich i Usług Rybackich „Odra". Filmowcy przebywali z rybakami na łowiskach i pokazali ich ciężką pracę, codzienne życie na statku, organizację przetwórstwa itp. Film demonstrowany jest wycieczkom odwiedzającym przedsiębiorstwo. Dobrą tradycją „Odry" jest gromadzenie pamiątek związanych z historią przedsiębiorstwa i jego pracą.

Pamiątki te oraz dokumentalne zdjęcia posłużyły do urządzenia wystawy obrazującej 25-letnią historię przedsiębiorstwa.

Rybacy z „Odry" przekazali wiele eksponatów, a wśród nich złowione przez siebie okazy oryginalnych ryb i skorupiaków, Muzeum Rybołówstwa w Świnoujściu.

Pierwszy trafił na jego ślad prof. Tadeusz Seweryn etnograf, wieloletni, dziś nieżyjący już dyrektor Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Później napisał o nim książkę Aleksander Minorski (okładkę jej widzicie obok). Jeden z rozdziałów swojej pracy pt. „Na skrzydłach jak ptaki" poświęcił mu również Jerzy Ryszard Konieczny...

Kim był ów „IKAR ZNAD DUNAJCA", dowiecie się na stronie 4 dzisiejszego wydania „ŚM". Tekst ten i towarzyszące mu zdjęcia polecamy szczególnie miłośnikom lotnictwa! **(jd)**

ROZŚPIEWANI

OPOLE (HSI). Tutejsza Komenda Hufca ZHP po raz dziesiąty już zorganizowała Festiwal Piosenki Harcerskiej. Eliminacje hufcowe, poprzedzone żmudnymi przygotowaniami w drużynach i eliminacjami w szczepach, odbyły się w udekorowanej sali MDK.

Do „śpiewania" zgłosiło się chętnych około 100 zuchów i harcerzy. Wśród nich wielu solistów, zespołów wokalno-instrumentalnych, całych drużyn harcerskich. Dużo ciekawych utworów zostało zaprezentowanych w ramach konkursu na nową piosenkę. Ich autorami, a często i wykonawcami, byli członkowie drużyn HSPS oraz instruktorzy Hufca. Celem Festiwalu było rozśpiewanie drużyn – i cel ten na pewno został osiągnięty.

Na zwycięzców czekały oczywiście nagrody i niespodzianki. Laureaci Festiwalu otrzymali bowiem cenne nagrody rzeczowe i dyplomy. Szczepy zaś, które zajęły pierwsze miejsca stały się posiadaczami nagród przechodnich. Trzeba będzie śpiewać cały rok, żeby na XI Festiwalu zatrzymać je na własność.

Dariusz Wawrzynkiewicz

Dziś przedstawiamy

TARFLEN – polski teflon

Znosi najbardziej „agresywne" rozpuszczalniki i najbardziej „morowe" środowiska chemiczne. Wytrzymuje trzystustopniowe gorąco i stustopniowy mróz. Jest plastyczny, daje się barwić, sprasowywać z proszkami metali. Ma znikomy współczynnik tarcia. Robi się zeń elementy mostów i części maszyn, łożyska, których można wcale nie smarować, naczynia, do których nic nie przywiera, wszelkiego rodzaju uszczelki. Wytwarza się zeń pierwsze sztuczne narządy organizmu ludzkiego bez obawy, że wywołają w nim szkody – jest bowiem biologicznie obojętny. Stanowi świetny izolator elektryczny. Powleka się nim skafandry kosmonautów. Jest prawdziwym dobrodziejstwem dietetyków – na patelniach, które nimi powleczono, można wszystko odgrzewać nawet bez tłuszczu. Ta niemal cudowna substancja – to poliozterofluoroetylen, krócej teflon, najkrócej PTFE.

Jego produkcja na skalę przemysłową ruszyła w 1950 r. w amerykańskim koncernie Du Ponta. Od tego czasu stał się rozpowszechnionym tworzywem w wielu uprzemysłowionych krajach. W niejednym z nich teflonowe folie, emulsje i uszczelki można kupić w kiosku na ulicy. U nas – na razie nie można, choć są pewne nadzieje – wszakże i my dorobiliśmy się naszej rodzimej odmiany teflonu.

To TARFLEN – dziewięcioletnie już dziecko tarnowskich „Azotów". Gdy się to dziecko narodziło, pisano o nim wiele i nie bez entuzjazmu. Dziś trochę tego entuzjazmu mniej, z wykorzystaniem tego cudu chemii mamy bowiem kłopoty. Bo choć „Azoty" mogą wyprodukować rocznie 300–500 ton tarflenowego proszku, prasowanego później w płyty i jeszcze zwiększyć produkcję – nie na proszek i nie na płyty czekają krajowi odbiorcy. Chętnie natomiast kupują je od nas kontrahenci zagraniczni – Włochy, Indie, RFN (kupująca nawet odpady), co nie jest dla nas bez znaczenia. Ale...

Nam w kraju potrzebne są wyroby z tarflenu – zwłaszcza uszczelki i kształtki. Ale w ich wytwarzaniu przeszkadza jedna wada tworzywa – jeżeli jest sprasowane w płyty, nie daje się już kształtować, nie można też używać do jego kształtowania wtryskarek. Potrzebna jest obróbka skrawaniem formy wykonanej ze sprasowanego proszku. Tylko to gwarantuje precyzję tarflenowych elementów i urządzeń.

Niestety, ze sprzętem do tych celów bieda. Jeden zagraniczny automat, kilka pieców, kilkanaście obrabiarek, niewielki park maszyn dziewiarskich do wytwarzania siatek z tarflenowych nici – to zbyt mało, by wyroby z tarflenu stały się powszechne i trafiły do rodzimych kiosków „Ruchu". A przydałyby się nam bardzo, także w życiu codziennym. Może tarflenowe uszczelki położyłyby wreszcie kres cieknącym kranom, zabezpieczyły instalacje małych fiatów przed wilgocią, ułatwiły życie gospodyniom domowym, pozwalając piec mięsa i ciasta w tarflenowej folii?

Niestety, wąskie gardło osprzętu na to nie pozwala. W sumie – mamy świetne tworzywo, ale w stanie półfabrykatu. Wysyłamy go za granicę, ale tamtejsi odbiorcy też chcieliby już gotowych wyrobów, zwłaszcza, że ten nasz teflon cieszy się wysokim uznaniem, najwyższym spośród teflonów produkowanych w krajach socjalistycznych. Zarazem – „szewc bez butów chodzi" – nie wykorzystujemy rodzimego produktu należycie. Skutek? Ano taki, że kupujemy jednocześnie, świetny skądinąd, amerykański teflon za dewizy... (tok)

LIBERIA „Kraj Wolności"

W liczącej 133 lata historii republiki Liberii nigdy dotychczas nie było żadnego zamachu stanu. Jest to swoisty rekord afrykański, tym większy, że kontynent ten od lat wstrząsany jest ruchami wyzwoleńczo-rewolucyjnymi. Tymczasem w nocy z 11 na 12 kwietnia br. grupa podoficerów i członków liberyjskiej Gwardii Narodowej dokonała śmiałego rajdu na pałac rządowy w stolicy kraju, Monrowii. W czasie zamachu zginął prezydent republiki William Tolbert i ponad 20 innych polityków i wojskowych. W kraju utworzono Ludową Radę Ocalenia, złożoną z 16 wojskowych – głównie szeregowców i sierżantów. Przewodniczącym Rady został starszy sierżant, 28-letni Samuel Doe, który podjął się również pełnienia obowiązków szefa państwa i premiera.

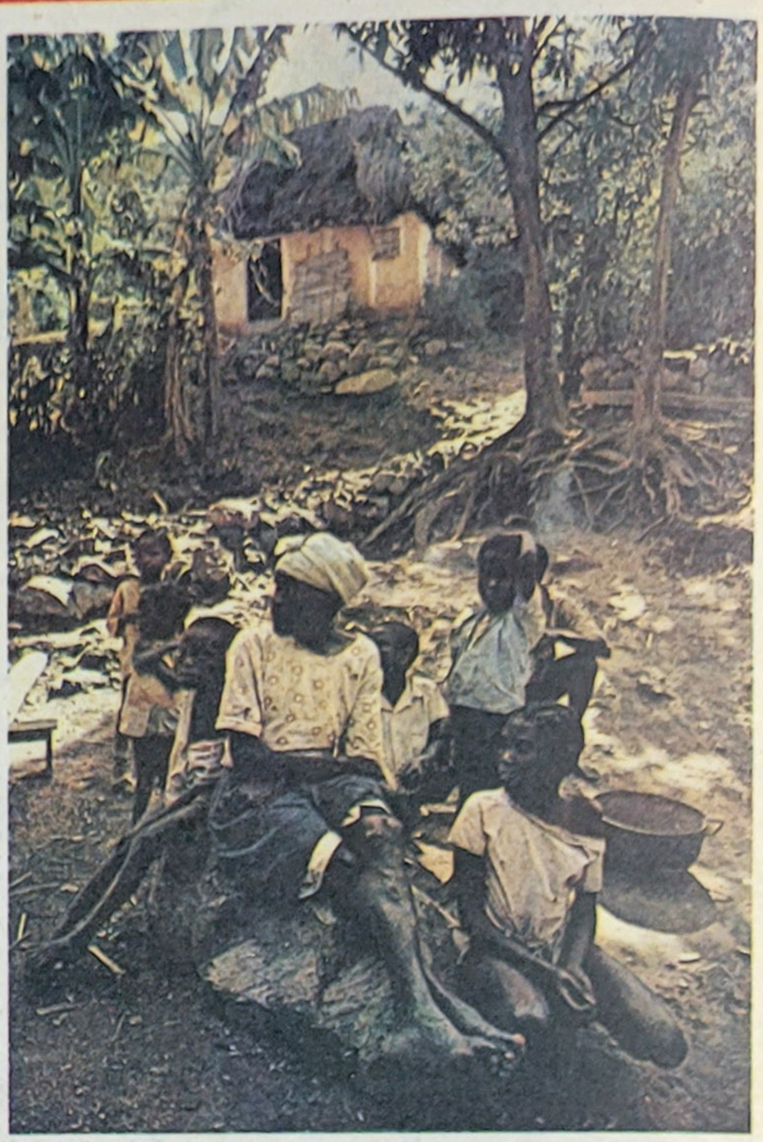

Dla niewtajemniczonych w wewnętrzne sprawy Liberii przewrót ten może się wydawać wybrykiem garstki buntowników. Tak jednak nie jest. To, co się stało, nie było żadną niespodzianką. A przyczyn tych wydarzeń należy szukać w szczególnych cechach rozwoju historycznego i społeczno-gospodarczego Liberii.

Pierwszymi Europejczykami, którzy pojawili się w tym kraju byli Portugalczycy. W drugiej połowie XV wieku wylądowali oni na wybrzeżu, gdzie pojawiły się później ośrodki handlu niewolnikami. Na początku lat dwudziestych XIX wieku powstało w Stanach Zjednoczonych Amerykańskie Towarzystwo Kolonizacyjne, które wykupywało z niewoli Murzynów amerykańskich i wysyłało ich z powrotem do Afryki. W grudniu 1821 roku dwaj członkowie tego Towarzystwa nabyli działkę na przylądku Mesurado w pobliżu dzisiejszej Monrowii, za którą zapłacili miejscowym wodzom lusterkami, tytoniem, koralikami i sztabami żelaza. W styczniu następnego roku na zakupionej ziemi osadzono pierwszą grupę repatriantów afrykańskich i założono osadę. Otrzymała ona nazwę Monrowia – od nazwiska ówczesnego prezydenta USA, Jamesa Monroe'go. Wkrótce zaczęły się tu pojawiać nowe osady wyzwolonych niewolników, które w 1838 r. zjednoczyły się w La Terre de la Liberte („Kraj Wolności") pod protektoratem gubernatora amerykańskiego. W 9 lat później osadnicy zwołali zgromadzenie ustawodawcze i 26 lipca 1847 roku podpisali Deklarację Niepodległości. Tak powstało jedno z najdziwniejszych państw.

Repatrianci z Ameryki utworzyli hermetyczną grupę Amerykano-Liberyjczyków. Uważali się za „cywilizowanych" i bez żenady wyzyskiwali rdzennych mieszkańców kraju, nazywając ich lekceważąco „tubylcami". Aż do roku 1904 „tubylcy" nie mieli praw obywatelskich, a do roku 1944 – prawa głosu. Mimo iż w ostatnich latach nieco poprawił się status rdzennych Liberyjczyków, nadal kluczowe stanowiska w administracji, wojsku, policji, w przemyśle zajmowali „cywilizowani". Liberia faktycznie były nadal krajem kolonialnym, w którym o wszystkim decydowało 3 procent ludności, potomków repatriantów z USA. Obalony ostatni prezydent, William Tolbert, który objął to stanowisko w 1971 roku, w pierwszych latach swoich rządów poczynił szereg posunięć, aby nadać krajowi bardziej „afrykański", a mniej „amerykański" charakter. Opowiedział się za poparciem dla ruchów wyzwoleńczych narodów Zimbabwe i Namibii, a nawet nawiązał stosunki dyplomatyczne z krajami socjalistycznymi. Jednakże „reformy" Tolberta w niczym nie naruszały podstaw ustroju społeczno-politycznego Liberii. Nadal kraj tkwił w strukturach stworzonych w XIX wieku. Nadal krajem rządziło kilkaset rodzin wywodzących się z elity amerykańsko-liberyjskiej.

Jedną z ostoi klasy rządzącej była Prawdziwa Partia Whigów. Wyraz Whig pochodzi od pierwszych liter angielskich słów zdania: We hope in God – co znaczy: „Pokładamy nadzieję w Bogu". Partia ta nieprzerwanie sprawowała władzę od 1878 r. Chociaż ustawodawstwo liberyjskie nie zakazuje działalności innych partii, faktycznie każda próba stworzenia opozycyjnej siły natychmiast tłumiona była brutalnie. Tak też się stało z Postępową Partią Ludową (PPP), zarejestrowaną oficjalnie w grudniu ub. roku. Przywódcy jej oznajmili, że są wierni ideologii „socjalizmu afrykańskiego" i zażądali przestrzegania zasad demokracji, poszanowania praw jednostki i poprawy stopy życiowej mas pracujących, przede wszystkim rdzennej ludności. Ale nawet te bardzo skromne żądania wywołały rozdrażnienie przywódców Prawdziwej Partii Whigów. Rozpętała się kampania przeciwko PPP, nazywając ją „nielegalną" i „zbrodniczą". Na początku marca aresztowano przywódców opozycji i zdelegalizowano partię. Zapowiedziano przy tym, że osobom, które będą usiłowały ją odrodzić lub kontynuować jej działalność grozi kara od 10 do 15 lat i grzywna od 10 do 25 tys. dolarów. Ponadto zapowiedziano wytoczenie procesu uwięzionym przywódcom PPP. Zamiaru tego nie zdążono zrealizować, gdyż, jak już wspomniałem, 12 kwietnia stary reżim przestał istnieć.

W wyniku wojskowego zamachu zwolniono z więzienia wszystkich przywódców Postępowej Partii Ludowej, a czterech z nich weszło w skład Ludowej Rady Ocalenia. Przewodniczący PPP, Gabriel Matthews, otrzymał tekę ministra spraw zagranicznych.

Jaką drogę rozwoju obierze teraz Liberia pod rządami PPP, na razie nie wiadomo. Z przemówienia radiowego, wygłoszonego do narodu przez Samuela Doe wiemy tylko, że nowa władza opowiada się za budową „społeczeństwa opartego na sprawiedliwości i godności człowieka". Oświadczył również, że „Rada ma zamiar rozwijać stosunki ze wszystkimi zaprzyjaźnionymi krajami, popierać zadania i cele ONZ, OJA i ruchu państw niezaangażowanych" Deklaracja jest więc na tyle ogólnikowa, że może pasować do każdego ustroju.

Zadania, jakie stoją przed nowymi przywódcami są nadzwyczaj trudne. W kraju istnieją rażące kontrasty – z jednej strony panuje nędza, z drugiej nieukrywany luksus klas panujących. Szaleje bezrobocie i nawet ci, co pracują, z ledwością mogą związać koniec z końcem. Analfabetyzm i opłakany stan służby zdrowia dopełniają tego smutnego obrazu. Tymczasem Liberia nie jest bynajmniej krajem biednym. Przeciwnie, dysponuje poważnymi zasobami rudy żelaza, złota, diamentów, boksytów, korundu, grafitu i rud manganu. Pod względem eksportu rud żelaza wysokiej jakości (ponad 20 milionów ton rocznie) zajmuje pierwsze miejsce w Afryce. Wilgotny klimat tropikalny i urodzajne gleby sprzyjają uprawie takich cennych roślin jak ryż, kawa, ziarno kakaowe i kauczukowiec. Do tego dodajmy niemałe zyski płynące za rejestrację statków pod liberyjską banderą, a będziemy mieli wyobrażenie o zasobności kraju. Cóż z tego? Nieszczęście Liberii polega na tym, że w jej górnictwie, przemyśle kauczukowym i w innych dziedzinach panoszą się monopole zagraniczne, przeważnie amerykańskie. I to praktycznie bez żadnej kontroli państwa. Zyski monopoli wywożone są bez ograniczeń. W takiej sytuacji jasne jest, dlaczego mimo tak wielkiego bogactwa, większość ludzi cierpi nędzę.

„Kraj Wolności" – Liberia, chyba tylko na urągowisko tak się nazywa. Czy „szesnastu sprawiedliwych", z Samuelem Doe na czele, zdoła poprowadzić swój kraj na drogę postępowych przemian – czas pokaże. Jedno jest pewne, nie będzie to łatwe. Monopole zrobią wszystko, aby nie utracić swych ogromnych zysków.

Oprac. **ST. BOROWIECKI**
Fot. **archiwum**

Wstydliwa sprawa...

Podejmą trzy zakłady: pierwszy, że wszystkie letnie obozy będą biwakować obok plaż, kąpielisk, jezior i rzek, albo w niedalekiej od nich odległości; drugi, że na wielu z tych obozów dziewczęta i chłopcy, a także kadra, będą się myli w swetrach i dresach zapiętych pod brodę, pilnując, by szyi nie zamoczyć; trzeci, że naukę pływania będzie się prowadzić tylko na nielicznych obozach.

Mógłbym podjąć jeszcze czwarty zakład, że na pytanie, kto nie umie pływać, wszyscy uczestnicy obozu odpowiedzą, że umieją. Bo przecież wstyd jest się przyznać do tego, że obywatel kraju, w którym jest 9300 jezior, mnóstwo rzek i blisko 600 km wybrzeża morskiego, nie umie pływać. Wstydzi się więc nastolatka i nastolatek, a i poniektórzy dorośli też, że posiadają umiejętność pływania w... stylu rozpaczliwym. Gdyby się tylko wstydzili, to pół biedy, ale...

Koniec roku szkolnego za pasem, a wraz z nim początek kolejnej wielkiej letniej przygody. W hufcach, szczepach i drużynach trwają już przygotowania do obozów, kolonii i wędrówek. Trwa też wyścig o zdobycie atrakcyjnego miejsca na obóz czy biwak. Oczywiście, nad wodą, bo tylko taki obóz ma dopiero pełnię uroku.

Nie widziałem obozu nad wodą, który by nie miał wyznaczonego kąpieliska z kołem ratunkowym i tablicą z regulaminem, w którym wszystkie zdania zaczynają się od słów – „nie wolno". I dobrze, choć zakazy powinny dotyczyć tylko tych nie umiejących pływać; dobrze pływać. Ale, wiadomo, ludzka natura jest przekorna – jeśli nie wolno, to znaczy trzeba. A przekorni są najczęściej ci wstydliwi, którym „ambicja" nie pozwala wyjawić, że z pływaniem są na bakier. Miałem okazję wyciągać takich „chwatów" z topieli. Ot i masz „wielką przygodę" tylko dlatego, że chciałeś zaimponować kolegom rzekomą umiejętnością pływania i wątpliwą odwagą.

Ale to jedna strona medalu, bo druga, to sprawa braku konsekwencji w realizowaniu konkursu chorągwi w upowszechnianiu pływania na obozach. Już trzeci rok trwa ta akcja, a efekty są mniej niż mierne. Powody? Wydaje mi się, że poza wspomnianą wstydliwością, jest jeden podstawowy: brak na wielu obozach ratowników z prawdziwego zdarzenia, którzy mogliby naukę pływania skutecznie prowadzić.

To nie gołosłowie, bowiem w ubiegłym roku obserwowałem te sprawy na kilkunastu obozach biwakujących na wschodnich terenach kraju. Na żadnym z tych obozów nauki pływania nie prowadzono. Kąpieliska, oczywiście były, ale wykorzystywano je do porannego i wieczornego mycia, no i płukania kuchennych naczyń.

Prawda, ratownika z prawdziwego zdarzenia trudno pozyskać na harcerski obóz. Bardziej im się bowiem opłaca zatrudnić w ośrodkach wczasowych, bo i stawki wyższe, i nauki pływania prowadzić nie muszą. Jest jednak spora już grupa młodzieżowych organizatorów sportu – uczniów szkół średnich z kwalifikacjami pływackimi. Dlaczego ich nie wykorzystać na obozach? Jest też drugie wyjście – wykorzystanie członków Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, które we wspomnianym konkursie pływackim współdziała z Główną Kwaterą ZHP i chorągwiami. A są to specjaliści najwyższej klasy i do pomocy harcerskim obozom chętni.

Podjąłem trzy zakłady, których nie chciałbym wygrać. Bo i cóż to za satysfakcja, że na iluś tam obozach i koloniach zuchy, harcerki i harcerze będą tylko podziwiać piękno jezior i rzek, bojąc się zamoczyć nogi wyżej kolan? Albo iluś tam „wstydliwym chwatom" trzeba będzie stosować sztuczne oddychanie? Żadna to satysfakcja.

Najchętniej podjąłbym zakład, że w czasie tegorocznej obozowej akcji, wszyscy jej uczestnicy zdobędą karty pływackie. Bo, co tu dużo mówić, styl rozpaczliwy druhnom i druhom nie przystoi...

RYSZARD RATAJCZYK

...Wieczorem, wyrzucany z domu, szedł pod szkołę. Tu czuł się bezpiecznie. Tu było mu dobrze, chociaż spał na betonie...

Rozmawiamy z pedagogiem szkoły

TAKA, JAKA BYĆ POWINNA

Przedmieście Tarnowa. Przeważnie niewielkie drewniane chałupki. Jeszcze po wojnie była to po prostu wieś o nazwie Rzędzin. Potem miasto wchłonęło wieś. Z drugiej strony, za szkołą, wyrosło nowe osiedle mieszkaniowe. Przybyło uczniów. Przed siedmiu laty przyznano szkole nr 9 etat pedagoga. Na tę funkcję powołano panią Zofię Małek – nauczycielkę pracującą tu już dwanaście lat.

– Jakie zadanie stanęło przed panią i co się za tą funkcją kryje? – pytam panią Zofię podczas spotkania w szkole.

– Pierwsze kroki nie były łatwe. Ani wychowawcy, ani młodzież nie wiedzieli z czym się do tego p e d a g o g a zwracać. Więc zdarzyło się, że początkowo po prostu mną straszyli; będziesz się źle zachowywać, to pójdziesz do p e d a g o g a... Zaczęłam działać na wyczucie. Nie istniały bowiem żadne wzorce. Wiedziałam, że jestem potrzebna i wychowawcom, i młodzieży, że muszę pomóc, ale nie zastępować tych pierwszych. Musiałam stać się koordynatorem spraw wychowawczych. Młodzież ma wiele problemów. P e d a g o g musi wiedzieć, czy swoich kłopotów nie wynosi ona z domu.

– A pani skąd wiedziała, że na przykład ojciec Iksińskiego pije, awanturuje się i Iksiński dlatego jest nerwowy i nie przygotowany do lekcji?

– Pracowałam już tu i znałam środowisko, zresztą funkcję pedagoga objąć może jedynie nauczyciel, który w danej szkole przepracował minimum 5 lat... A ja swoją nową działalność rozpoczęłam od na pozór banalnego zakładania kartotek i teczek uczniów. I nie chodziło w nich o przepisywanie istniejącej w szkole dokumentacji. Przeprowadzałam wywiady środowiskowe, odwiedzałam rodziców... Uczeń nie przygotowany do lekcji nie wstanie i nie powie przy całej klasie, że jego ojciec jest awanturnikiem. Ale zapytany w cztery oczy, mając przeświadczenie, że ja tę wiadomość zachowam w tajemnicy – staje się otwarty. Do mnie należy takie pokierowanie sprawą, aby zaufania nie stracić.

– Ten wypadek z dzieckiem, które spało pod szkołą...

– To było dziecko z ogniska przedszkolnego. Miałam właśnie dyżur po południu. Miewam takie dyżury, żeby rodzice mogli przyjść do mnie z pytaniami, problemami. Szczęśliwie się złożyło, że byłam w szkole. Na dworze ziąb, ciemno. To dziecko, jak małe kocię, szukało schronienia. Zadzwoniłam na milicję. Ale oficer dyżurny nie chciał mi wierzyć. Wreszcie przyjechali, zabrali. Potem już przy pomocy sądu i władz oświatowych umieściliśmy małego w Domu Dziecka.

– A czy miała pani taki przypadek, że uczeń dokonał przestępstwa i szkoła uchroniła go przed odpowiedzialnością sądową?

– Przy naszej szkole istnieje tzw. Komisja Społeczno-Wychowawcza. W jej skład, poza mną, wchodzą: **komendatka szczepu harcerskiego – druhna Janina Dworzak, dyrektorka szkoły – pani Barbara Janczy, członek Komitetu Rodzicielskiego, sędzia z zawodu – pani Grażyna Bieszkiewicz i dzielnicowy.**

Na naszym osiedlu jest duży sklep samoobsługowy. I zdarza się, że uczniowie coś ukradną. Kiedyś na przykład jeden z chłopców przywłaszczył sobie nóż. Ekspedientka zauważyła. Wezwała milicję. Gdyby nie nasza komisja, chłopcu groziłaby rozprawa sądowa. Przejęliśmy tę sprawę. Jeszcze raz przeprowadziliśmy wywiad środowiskowy. Rodzice porządni. Chłopca podkusiło po raz pierwszy i chyba ostatni w życiu. Uświadomiliśmy mu, że czyn, którego dokonał jest przestępstwem. Oczywiście każde posiedzenie komisji kończymy wnioskami. Delikwentów kierujemy do kółek zainteresowań, a tych jest przy naszej szkole kilka. Mamy kursy tańca nowoczesnego, kółko szermiercze i modelarskie.

– W szkole istnieje szczep harcerski. Jakie jest współdziałanie organizacji w pracach wychowawczych?

– Przed dwoma laty mieliśmy grupę, której trzon stanowiła młodzież trudna. Dobrał się po prostu zespół z rodzin rozbitych i rodzin alkoholików. Oni na przykład potrafili zabarykadować drzwi i nie wpuścić nauczyciela, bo im się nie podobał... Trzeba było ten problem rozwiązać. Pomogła właśnie organizacja. To była klasa komendantki szczepu. Powstał w tej klasie zespół artystyczny. Okazało się, że ta młodzież świetnie tańczy i śpiewa. Równie świetnie niestety wagaruje... Więc otrzymali zadanie jako drużyna: zlikwidować wagary. Doszło do tego, że oni wyłapywali uciekinierów z innych klas. Pod koniec roku była to jedyna klasa w szkole bez wagarów. Poza tym w tamtej klasie wywiadówki rozpoczynały się częścią artystyczną, żeby rodzice zobaczyli, jakie mają zdolne dzieci. Potem dochodziło do rozmowy z rodzicami. I uczniowie w tych rozmowach brali udział, tłumaczyli się przed rodzicami z ocen. Zapobiegało to opowiadaniom w domach różnych bajeczek, zapobiegało kłamstwom. I... ósmą klasę ukończyli wszyscy.

– A rodzice? Jak oni podeszli do tej funkcji? Przecież poza drastycznymi przypadkami, jak z tym sześciolatkiem, im przede wszystkim jest bliska sprawa ich dzieci.

– Kiedy objęłam funkcję pedagoga i zaczęłam przeprowadzać pierwsze rozmowy, nie bardzo wierzyli w skuteczność moich poczynań. Ale przekonywająca jest chociażby sprawa pomocy materialnej. Typujemy młodzież do różnego rodzaju zapomóg, do stypendiów, do stałej czy też jednorazowej pomocy, występujemy do Komitetu Rodzicielskiego o dopłaty do wyżywienia w świetlicy szkolnej. Ostatnio mieliśmy taki przypadek: babcia, osiemdziesięcioletnia staruszka, wychowuje wnuczkę. Matka i ojciec dziewczynki żyją, ale założyli inne rodziny, o córce zapomnieli. I ta babcia oświadczyła nam, że miała ostatnie dwadzieścia złotych, że gdyby nie pomoc szkoły, ona nie wie, co by zrobiła... Jednej z rodzin pomogliśmy załatwić mieszkanie...

Dowodem zaufania rodziców jest również ich udział w spotkaniach czy to ze mną, czy z panią sędziną. Nigdy dyżurów nie spędzamy samotnie.

– Jakiego rodzaju sprawy, poza wymienionymi w czasie rozmowy, stanowią dla pani i grona wychowawców czuły punkt?

– Bardzo istotny jest dla nas problem dzieci kalekich. Mamy na przykład uczennicę po chorobie Heine-Medina, o ograniczonej zdolności ruchów. Przy współudziale poradni wychowawczo-zawodowej wysyłamy ją do Buska-Zdroju, gdzie jest szkoła z internatem i gdzie prowadzona jest rehabilitacja. A matka przyszła po dokumenty i martwi się, jak córka w nowej szkole będzie się czuła. Tu była otaczana opieką... Bo u nas wszyscy uczniowie wiedzą, że tej dziewczynce trzeba pomóc. Mamy 400 dzieci, które po lekcjach biegną do szatni. Proszę mi wierzyć, wszyscy robią miejsce, żeby ona mogła przejść. Ale tę postawę w człowieku trzeba wyrobić. Ona chodziła tu do szkoły z radością. Było jej tu dobrze. Tu się czuła bezpiecznie. I to jest nasz sukces!

– Gdyby młodzi ludzie, którym brakuje miejsca w ich świecie, uciekali do szkoły, tu szukali schronienia?

– Moglibyśmy uznać, że szkoła jest właśnie taka, jak być powinna – kończy rozmowę pani pedagog.

WIESŁAWA MROCZEK
Fot. J. Łopuszyński

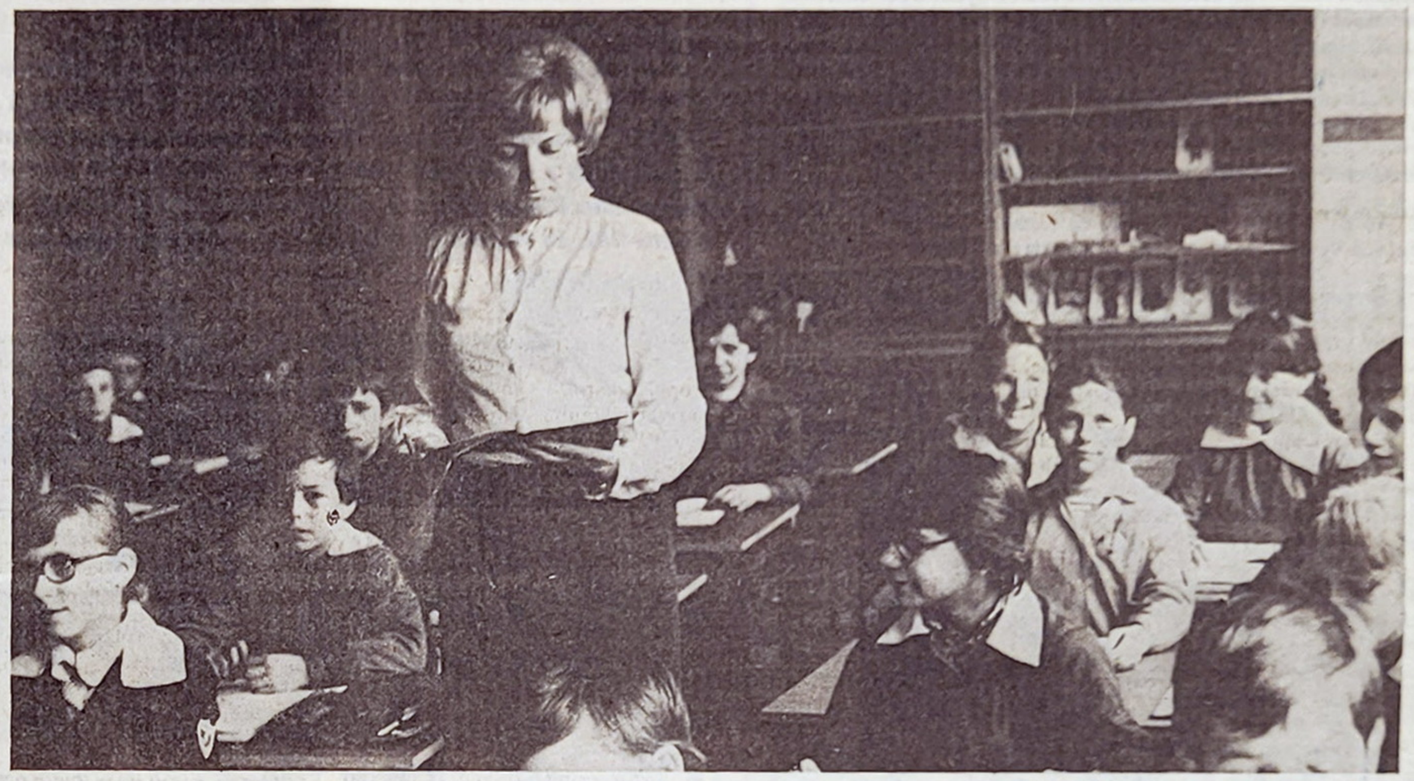

Sienkiewicz z dziećmi – Jadwigą i Henrykiem

POWROTY – cóż za radość...

Oto kolejny fragment książki Stefana Henela pt. „Godziny zwierzeń", która ukaże się nakładem wydawnictwa „Iskry" pod koniec bieżącego roku.

Gdy myślę: Ojciec, ogarnia mnie jakiś ogromny, wewnętrzny spokój.

Dawniej, w dzieciństwie, czekałam... czekaliśmy na Jego powroty do domu. Była to radość podniecająca. Każdy taki powrót stawał się okazją do wysłuchania długiej, emocjonującej opowieści, a opowiadał tak – jak pisał. Powroty z polowań, które namiętnie lubił, powroty z wypraw w dalekie kraje, egzotyczne trofea, podpatrzone ze zdumiewającą dokładnością dziwy obyczajowe, nawet powroty... ze zwykłych spacerów po Warszawie – wszystko dawało początek opowiadaniom.

Mówił cicho, melodyjnie, miał piękny niski głos. Był czuły dla nas – ale czuły po męsku. Traktował nas z bratem zawsze serio, nawet w dzieciństwie zwracał się do nas jak do dwojga „małych, dorosłych ludzi".

Czasem czytał nam swoje utwory. Pięknie czytał – bez odrobiny patosu, a przecież z olbrzymią ekspresją. Lubił nawet zapytać: „Który bohater bardziej ci się podoba, którą postać wolisz? A dlaczego?" Nigdy natomiast nie miał zwyczaju opowiadać, nad czym aktualnie pracuje.

Gdy tworzył – izolował się od domowników. Nie miał z tym zresztą trudności, gdyż mieszkanie dziadków, u których się wychowaliśmy (przy rogu Wspólnej i Kruczej) było duże, a pokój dziecinny oddzielał od gabinetu Ojca cały system innych pokojów i korytarzy. Nie przychodziło nam też do głowy, by złamać zwyczajową ciszę podczas Jego pracy. W ogóle nie mogło być mowy o niewykonaniu przez dziecko jakiegokolwiek polecenia osób starszych i ten układ patriarchalnych stosunków wydawał się nam z bratem czymś najzupełniej naturalnym. Nasz dom, mimo iż bez matki, był prawdziwym domem.

Pracował zazwyczaj od rana do obiadu, wieczorem zasiadał do pisania jedynie w zupełnie wyjątkowych okolicznościach. Nie znam tajników jego warsztatu. Prawie nic nie wiem o tym; jak tworzył, co przeżywał, pokonując trud pisania. Jeśli nawet miewał chwile załamań – nie ujawniał ich. Dźwigać zawsze samemu ciężar ciosów – to było coś więcej niż postawa, to była jakby druga strona Jego natury. Pamiętam jednak, iż w sposób całkiem wyjątkowy reagował na... pogodę. W dnie słoneczne bywał w wyśmienitym humorze, dowcipkował. W dzień dżdżysty i pochmurny – stawał się rozdrażniony i milczący. Pracował jednakże zawsze z tym samym natężeniem. Oprócz siły ducha miał kolosalną wewnętrzną dyscyplinę.

Jego pokój pełen był książek i broni. Początkowo – a właściwie aż do swego jubileuszu – nigdy nie miał własnych powieści czy nowel w domu. Znajomi i przyjaciele pożyczając je, najczęściej już ich nie zwracali, upominając się co najwyżej po pewnym czasie o dedykację Ojca. Tak więc ja z bratem czytaliśmy „Trylogię" w arcysfatygowanych, pożółkłych wycinkach z gazet, skompletowanych przez ciotkę.

Kochał broń – zbierał ją, kolekcjonował, znał się na niej. Zapewne było w tym coś z umiłowania przygody, właściwego wielu silnym, męskim naturom. Jednocześnie oznaczało to ukochanie symbolu, który łączył go – jak każdego łowcę – z przyrodą; wśród niej czuł się prawdziwie wolnym człowiekiem. Ale nie tylko to. Był przecież w prostej linii potomkiem rodziny, w której „wojaczka" oznaczała coś więcej niż zawód, był synem żołnierza spod Olszynki Grochowskiej. Kochał broń, bo kochał wojsko. Razu pewnego powiedział: „Oddałbym w jednej chwili cały mój talent, aby móc choćby przez jeden dzień nosić mundur polskiego żołnierza". Bo też spośród wszystkich spraw, ta była dlań najważniejsza i naczelna: Polska.

Nie lubił udzielać wywiadów dziennikarzom. W podróżach za granicę stawał w hotelach pod obcym nazwiskiem. Nie chciał, aby wdzierano się w jego osobiste życie. Mawiał nawet z goryczą, że „wystarczy podarować swe dzieło narodowi, aby naród przestał respektować prawo człowieka do osobistych, intymnych tajemnic".

Starałam się zawsze uszanować to Jego życzenie...

JADWIGA KORNIŁOWICZOWA

Henryk Sienkiewicz, ps. Litwos, ur. 5.V.1846 r. w Woli Okrzejskiej, zmarł 15.XI.1916 r. w Vevey (Szwajcaria). Syn zubożałej rodziny ziemiańskiej, student Szkoły Głównej. Pracował w prasie warszawskiej jako reporter i felietonista, później jako redaktor i współwłaściciel „Niwy" i „Słowa". Zamiłowany podróżnik – zwiedził trzy kontynenty: Europę, Amerykę Płn., Afrykę. W czterdziestoletniej pracy pisarskiej Sienkiewicza – wciąż najgłośniejszego w świecie pisarza polskiego – największą sławę przyniosły mu: „Trylogia", „Krzyżacy", „Quo vadis" (nagroda Nobla w 1905 r.), nowele oraz ostatnia powieść w „Pustyni i w puszczy". W ćwierćwiecze pracy pisarskiej Sienkiewicza społeczeństwo ofiarowało mu dworek w Oblęgorsku.

W blasku olimpijskiego znicza

V – SZTOKHOLM

5.V. – 22.VII.1912. 2541 zawodników z 28 krajów, 14 dyscyplin sportowych. Polacy nie startowali.

Po awanturniczych igrzyskach londyńskich i kłopotach związanych z poprzednimi imprezami zorganizowano wreszcie wspaniałe zawody w Sztokholmie. Towarzyszyła im piękna atmosfera, a i wyniki były dużo lepsze. Po raz pierwszy, wzorem starożytnych igrzysk, wprowadzono konkursy sztuki (budownictwo, rzeźba, malarstwo, muzyka i literatura). Do programu zawodów weszły też pięciobój i dziesięciobój nowoczesny. Ich główną postacią był Indianin amerykański Jim Thorpe. Ale daremnie szukać dziś jego nazwiska na listach zwycięzców igrzysk. MKOl odebrał Indianinowi dwa złote medale. „Przestępstwem" Thorpego była, jeszcze w dzieciństwie, chęć zarobienia pieniędzy potrzebnych na... opłacenie szkoły. Indianin zagrał więc kilka meczów w jednej z zawodowych drużyn baseballowych. Pogardzany do końca życia, nigdy nie mógł zapomnieć krzywdy. Umarł ze słowami: „Oddajcie mi moje medale..."

Bardzo ciekawie wyglądał przebieg walk lekkoatletycznych. Nie zagrożona dotąd supremacja zawodników USA została poważnie zachwiana. Głównie za sprawą dobrze przygotowanych do startu Skandynawów, którymi opiekował się szwedzki trener Kjertberg. Otóż podpatrzył on metody treningowe Amerykanów, a następnie zastosował je we własnym kraju. Również w Finlandii lekkoatletyka stała na wysokim poziomie, a jej przedstawiciel, Kolehmainen, zdobył dwa złote medale (5000 m i 10000 m). Ale musimy odnotować i nie zasługujące na pochwałę wydarzenia. Oto finał biegu na 100 m. W towarzystwie samych sprinterów USA udział brał Parching, reprezentant Południowej Afryki. Według wcześniej ustalonego planu Amerykanie zmęczyli go... fałstartami i wygrali. Jeszcze bardziej surowo potraktowali oni swego kolegę Howarda. Przed wyścigiem finałowym zamknęli go w szatni. Był Murzynem...

Kolejne, VI IO miały zostać przeprowadzone w Berlinie. Ale w roku 1916 świat ogarnęła wojna. Zamiast na stadionie młodzież walczyła na frontach Verdun i Izery, w górach Kaukazu i w Palestynie, na morzach i oceanach. Następne zawody zostały wznowione dopiero po ośmiu latach. Jak się później okazało, nie był to ostatni cios zadany olimpijskiemu ruchowi.

AFRYKAŃSKIE ZEBRY ZAGROŻONE!

KENIA (PAP). Zoologowie badający liczbę zebr na terenie Afryki doszli do wniosku, że egzystencja tych zwierząt jest poważnie zagrożona. W wyniku polowań, tak oficjalnych, jak i kłusownictwa, liczba wszystkich odmian zebr w różnych krajach afrykańskich szybko się zmniejsza. W Kenii na przykład do 1977 roku liczebność tych zwierząt spadła z 10 tysięcy do 1 tysiąca. Zebrę Chartmana – reprezentującą jedną z odmian zebr górskich – obliczano jeszcze w 1950 roku na około 50 tys. sztuk. Naukowcy uważają, że zwierzęta te uratować można od całkowitej zagłady jedynie przez stworzenie kontroli polowań, a także ograniczenie międzynarodowego handlu skórami tych zwierząt. **(kż)**

Tak wyglądał prawdopodobnie człowiek, o którym piszemy. Jest to jego autoportret w formie drewnianej rzeźby

Fotomontaż ukazujący lot Jana Wnęka nad Polami Plebańskimi we wsi Odporyszew. Skrzydła zostały zrekonstruowane w Muzeum Etnograficznym w Krakowie

„Daleko rozniosła się nowina o tych wydarzeniach...

Na jednym z zebrań przy piecu z opłatkami zacny kościelny zamiast wstępu z Biblii przeczytał wieśniakom wypożyczoną od księdza gazetę, gdzie obok sensacyjnych komunikatów o kradzieży wielkich brylantów wprost z szyi zagapionej arystokratki na balu, o narodzeniu się pary cieląt zrośniętych z sobą brzuchami – przy czym oprócz zwykłych ogonów spomiędzy nich wyrastał trzeci, listu Bismarcka zapewniającego bez zająknienia, że Prusy nigdy nie napadną na Francję – pisano też, że w powiecie tarnowskim dziwak chłop lata z dzwonnicy".

(ALEKSANDER MINORSKI „Ikar znad Dunajca")

Ikar znad Dunajca

Nie ma się co dziwić, że ubiegłowieczny żurnalista umieścił informację o chłopskich powietrznych lotach między najbardziej sensacyjnymi wiadomościami. Wszak wydarzenie miało miejsce gdzieś około 1867 roku, kiedy to jeszcze nikomu się o takich ekstrawagancjach nawet nie śniło, a latanie balonem, czyli „kulą aerostatyczną", wzbudzało wystarczające, choć nadal ogromne emocje.

A rzecz sama, czyli owe nieprawdopodobne na owe czasy loty – istotnie miała miejsce, choć mało kto o tym wie, a historia lotnictwa wręcz na ten temat milczy. Nadal za pionierów podniebnych lotów na skrzydłach sztucznie wykonanych uważa się inżyniera Otto Lilienthala (1891 rok), a u nas w Polsce artystę malarza, Czesława Tańskiego (1896 rok). Tymczasem przed tymi nazwiskami należałoby umieścić jeszcze jedno: **chłop, cieśla i rzeźbiarz Jan Wnęk.** I datę, dwadzieścia pięć lat wcześniejszą: **1866 rok.**

Kilkanaście kilometrów od Tarnowa

w dawnym powiecie Dąbrowa Tarnowska leży wioska Odporyszów. To tutaj właśnie 114 lat temu Jan Wnęk zbudował pierwsze swoje „loty", jak je nazywał oraz utrzymał się na nich w powietrzu, startując z Górki Siedmiu Źródeł. Jako materiału użył listewek jesionowych i lipowych obciągniętych rańtuchowym płótnem – takim, jakiego kobiety używały na chusty – nasączonym olejem. W Muzeum Etnograficznym w Krakowie odtworzono te „loty" na podstawie opisu zięcia Wnęka, gdyż żaden oryginał się nie zachował. Ich główną zasadą konstrukcyjną było skrzydło ptaka – dzikiej kaczki, może czajki. Skrzydła były wielokrotnie ulepszane i Wnęk latał na nich do 1869 roku, wzbudzając początkowo tylko sensację, a później w miarę powtarzania swych coraz dłuższych lotów – niechęć, nieufność, wreszcie nawet posądzenie o konszachty z diabłem. Z tego, co o nim wiemy wynika, że musiał to być niesłychanie interesujący człowiek, o bardzo bystrym umyśle, wielkim talencie konstruktorskim, ogromnej pasji twórczej. A przy tym wszystkim – analfabeta, któremu zazdroszczono rozgłosu, a szczególnie talentu rzeźbiarskiego i zamówień na prace ciesielskie. To zresztą stało się prawdopodobnie przyczyną jego przedwczesnej śmierci, w wieku 41 lat.

Wnęk był w gruncie rzeczy cieślą

i rzeźbiarzem figur bardzo cenionym i szanowanym do czasu, gdy zaczął latać. Być może obserwując ptaki i rzeźbiąc potem anioły z wyraźnie ptasimi skrzydłami powziął swój zamiar oderwania się od ziemi i poszybowania w przestworzach. Pewne jest natomiast, iż postacie jego aniołków, kiedy się na nie patrzy dziś, najwyraźniej kojarzą się nam ze współczesnymi lotniarzami w rozbiegu, tuż przed startem. Szczególnie widać to na zdjęciach nr 3 i 4. Nie wydaje się, aby to był przypadek. Nowa pasja musiała w jakiś sposób odbić się na jego działalności rzeźbiarskiej, zostawić w niej jakiś ślad.

Według naocznych świadków, Wnęk, kiedy już zaczął startować z wieży kościelnej (fot. 2) za zgodą proboszcza Morgenszterna, za każdym razem przed lotem wyrzucał w powietrze garść nasion klonu i mniszka lekarskiego (dmuchawca). I z lotu tych nasion unoszonych przez prądy powietrzne wnioskował, w którym momencie ma skończyć. A rozpoczynał lot zawsze wtedy, gdy nad wieżę nasunęła się chmura. Chciał więc wykorzystać miejscową termikę, wiedział gdzie i kiedy występują prądy wznoszące, które przedłużają jego lot.

Tragedia rozegrała się w czasie Zielonych Świątek w roku 1869

Odbywał się jak zawsze odpust pod kościołem i Wnęk – tradycyjnie już – postanowił uświetnić go swym lotem na oczach zebranego tłumu, wśród którego było wielu przyjezdnych. Wszedł na wieżę, stanął na specjalnie zbudowanym pomoście i przypiął skrzydła, korzystając jak zwykle z pomocy Michała Sowińskiego, cechowego cieśli z Żabna, o którym wiedziano, że zazdrości mu powodzenia. I wtedy stało się coś, czego do końca chyba już nigdy nie poznamy. Wnęk zachwiał się i jak gdyby zepchnięty bardzo źle wystartował. Widziano z dołu, że coś niedobrego się dzieje, lot był wyraźnie niezgrabny, chybotliwy. Była to rozpaczliwa szamotanina człowieka, który walczy o swoje życie...

Runął na ziemię dokładnie 1350 metrów od dzwonnicy, w miejscu zwanym Źródłami. Połamał skrzydła i nie mógł się podnieść o własnych siłach.

Jakiś czas później proboszcz kościoła w Odporyszowie zanotował w księdze zgonów pod datą 10 lipca 1869 r. iż *„Johannes Wnęk lignifaber reliqiut uxorem Ludovicam Ciombor"* – (Jan Wnęk, cieśla, opuścił na zawsze żonę Ludwikę z domu Ciombor.)

Osierocił żonę i dzieci. Zostawił po sobie blisko 500 rzeźb i sławę człowieka, który zamiast jak wszyscy po ziemi chodzić, zapragnął w powietrzu niby ptak latać, za co go kara boska spotkała...

JERZY DĄBROWSKI
Fot. **Aleksander Minorski**

650 URODZINY TARNOWA

Wszyscy w Polsce wiedzą, że Tarnów, to stolica województwa, ośrodek przemysłowy, miasto polskiej chemii. Nie każdy jednak chyba orientuje się, że Tarnów obchodzi w bieżącym roku swe 650 urodziny. 9 marca 1330 r. król Łokietek nadał Tarnowowi prawa miejskie. Jest więc Tarnów miastem, gdzie współczesność splata się z historią. Wizytówką przeszłości jest nasza Starówka. Do dziś zachowane są mury obronne miasta z XVI w., staromiejskie wąskie uliczki z renesansowymi kamieniczkami, Ratusz, Bazylika Katedralna z XV w., wreszcie cały wystrój Rynku – przyciągają każdego, kto przejeżdża przez moje miasto.

Historia grodu zapisana jest bohaterskimi walkami z najeźdźczymi wojskami Szwedów, Austriaków, Sasów, Niemców. Każda z nich pozostawiła swe piętno na rozwoju miasta. Największych strat doznał Tarnów w okresie okupacji hitlerowskiej. Wschodnia część miasta legła w gruzach. 14 czerwca 1940 r. wyruszył z Tarnowa pierwszy transport 72 więźniów do oświęcimskiego obozu zagłady. W pobliskich lasach krzyże i pomniki znaczą miejsca pomordowanych w okresie okupacji. Dla mnie są to obrazy historii.

Współczesność miasta, to nowoczesność. Dominujące znaczenia mają dziś: przemysł chemiczny i metalowy, elektromaszynowy, hutnictwo szkła, przemysł rolno-spożywczy i konfekcyjny.

Miasto moje liczy dziś ponad 105 tys. mieszkańców. Rośnie w górę, o czym przekonują piękne wieżowce nowych osiedli mieszkaniowych: 25-lecia PRL, Klikowskie, Gumniska, Jasna, Północ. Rozwija się systematycznie sieć placówek handlowych, usługowych, gastronomicznych. Dumą Tarnowa jest oświata, ochrona zdrowia, kultura, turystyka, sport. Ogromna sieć szkolnictwa, biblioteka z 14 filiami, muzea, galerie wystawiennicze, kina, Państwowy Teatr Ziemi Tarnowskiej im. L. Solskiego, liczne domy kultury, kluby i stowarzyszenia kulturalno-społeczne są wizytówką życia kulturalnego Tarnowa. 7 stadionów piłkarskich, baseny kąpielowe, kryte pływalnie, hale sportowe i gimnastyczne, boiska przyszkolne – stanowią o szerokiej możliwości dobrej zabawy sportowej, a także stwarzają warunki dla uprawiania kultury fizycznej i sportu. Nie brak też miejsca dla wypoczynku i rekreacji. Obok XIX-wiecznego Parku Miejskiego, (w którym warto odwiedzić Mauzoleum gen. Józefa Bema), Tarnów dysponuje ogromnym Parkiem Kultury i Wypoczynku na Górze Marcina, skąd można podziwiać panoramę wielkiego Tarnowa.

A jaki będzie Tarnów w przyszłości? W perspektywie – to miasto 190 tys. mieszkańców. Liczba ta mówi o dynamice, ale i potrzebach. Obok dalszego budownictwa mieszkaniowego postępować będzie rozbudowa i modernizacja urządzeń komunalnych Tarnowa, umożliwiająca lepszy przepływ ruchu kołowego na trasie E-22. W planach miasta uwzględnia się potrzebę poprawy komunikacji wewnętrznej, poprzez uruchomienie komunikacji tramwajowej. Tarnów przyszłości, to także miasto posiadające sztuczne, kryte lodowisko z widownią na 5 tys. widzów, halą sportową z widownią na 2 tys. osób. To także nowe osiedla mieszkaniowe we wschodniej części miasta, poprawa opieki zdrowotnej poprzez przekazanie do użytku nowego Wojewódzkiego Szpitala.

Władze miasta przy udziale mieszkańców nie zapominają także o bezcennych wartościach Tarnowa – Starówce. Z każdym rokiem kolejne obiekty zabytkowe Starego Miasta poddawane są gruntownej odnowie.

Na czerwiec przypada kulminacja obchodów 650-lecia Tarnowa. Jestem dumny, że w miesiącu tym moje miasto zostanie odznaczone Sztandarem Pracy I Klasy za całokształt wkładu w rozwój Ojczyzny. Byłem w wielu miastach naszego kraju. Każde ma swą historię i dzień współczesny. Moje miasto jest i ma prawo być dla mnie najpiękniejsze, widzę jak z roku na rok rośnie, modernizuje się i pięknieje.

MARIUSZ NOWAK

O WYGLĄD MIASTA MUSZĄ DBAĆ WSZYSCY

Tarnów był i jest miastem zabytkowym i pięknym, jednak nie wszyscy jego mieszkańcy przyjmują to do wiadomości. Idąc ulicami miasta wiele razy spotykam młodych ludzi, którzy nie umieją uszanować zabytków, a także trawników i skwerów. Często na ścianach budynków i kamienic zabytkowych można zobaczyć różnego rodzaju napisy oszpecające zabytki. Wielu mieszkańców skraca sobie często drogę, idąc przez trawniki, robiąc w ten sposób „nowe chodniki". Chciałabym napisać też o swoim osiedlu. Było bardzo wesołe i przejrzyste. Teraz jednak budują wokół niego sklepy usługowe. Od strony miasta sklepy te zasłaniają piękne trawniki przed blokami. Chciałabym, żeby na innych osiedlach nie zdarzały się takie wypadki, bo naprawdę dzieciom i młodzieży potrzebne są place zabaw. Wierzę, że Tarnów swoje błędy niedługo zlikwiduje i będzie miastem wesołym i czystym.

DOROTA MACHETA

HARCERZE Z INICJATYWĄ

Wiele osób z naszej Szkoły Podstawowej nr 1 nosi harcerskie mundury. Harcerzami są też uczniowie naszej klasy. Należymy do harcerstwa w 100%. Wiele radości przynoszą nam zbiórki. Podczas nich wykonujemy zadania, których wynikiem jest tytuł Drużyny Sztandarowej zdobyty w ubiegłym roku. Praca nasza składa się też z akcji propagowanych przez „Świat Młodych". W roku 1979 zostaliśmy laureatami konkursu „Kierunek-Budowa" i wspólnie z gazetą byliśmy na święcie MAW w Chełmie. Na zajęciach zastępów poznajemy życie dzieci i dorosłych w innych krajach. Nawiązujemy kontakty z pionierami z Węgier, ZSRR, Czechosłowacji. Pogłębieniem tych kontaktów są obozy na Węgrzech i w Barcicach. Oprócz tego szkoła organizuje obozy w Chłopach nad morzem. Wiele radości i doświadczeń dają nam rajdy i biwaki. Dużą popularnością cieszy się „Hart" wiosenny, w którym chętnie uczestniczymy. Uczymy się na nim jak żyć w gromadzie i to uczestnictwo uczy nas też wytrzymałości zarówno fizycznej jak i psychicznej. Nasze zbiórki różnią się trochę od zbiórek innych drużyn np. na jednej z nich szukaliśmy na wyznaczonej ulicy domów, których numery są niewidoczne i zdaliśmy z tego sprawozdanie w administracji. Nie mamy zbiórek, na których tylko się rozmawia, są to spotkania pełne inicjatywy.

EWA OĆWIEJA

cę w naszym szpitalu jako kardiolog i na pewno świetnie mi się będzie pracowało w schludnym, czystym, obszernym szpitalu. Gdyby budowa ta zależała ode mnie, to zrobiłabym wszystko co bym mogła, aby szpital powstał jak najszybciej.

JUSTYNA BENKIEWICZ

MIASTO MOICH MARZEŃ

Bardzo bym chciała, aby w naszym mieście wszystko działo się na „plus". Aby tak było, trzeba jeszcze wykonać wiele rzeczy. Słyszałam o planach rozbudowy komunikacji, a przede wszystkim wprowadzenia tramwajów, bo teraz na autobus np. 27A lub 27B musi się długo czekać. A myślę, że jeżeli kursowałyby tramwaje, to byłoby o wiele wygodniej. Chciałabym, aby w Tarnowie zorganizowano wesołe miasteczko oraz ZOO, bo wtedy starsi i młodzi mieliby w niedzielne popołudnia atrakcyjne miejsca do odwiedzania. Kolejnym moim marzeniem jest budowa sztucznych lodowisk. Cieszę się, że w okresie zimowym jest czynne lodowisko koło mojej szkoły, a powinno ich być jak najwięcej. Zapomniałam jeszcze wspomnieć, że moim pragnieniem jest także stworzenie podziemnych przejść. Wiem, że to ma być zrealizowane w przyszłości. Będąc raz na wycieczce w Katowicach takie przejścia widziałam i bardzo mi się one podobały.

LUCYNA ŚLEDŹ

...„Zakupiliśmy około 130 krzaków róż i zasadziliśmy je na skwerze wokół szkoły. Jest to nasz czyn społeczny na 650 urodziny Tarnowa." (...)

Ewa Sycz

Fot. J. Łopuszyński

KOLEBKA SŁAWNYCH LUDZI

Na ziemi tarnowskiej jest wiele pomników poświęconych ludziom, którzy w czasie II wojny światowej oddali własne życie za wolność Ojczyzny. Nasz szczep organizuje rajdy, dzięki którym możemy odwiedzić te miejsca. Chcę jeszcze napisać, że z Tarnowa wywodzi się wielu sławnych ludzi np. aktor – Ludwik Solski i generał Józef Bem. W Parku Strzeleckim złożone są jego prochy.

IWONA RZĄCA

CHCĘ ZOSTAĆ LEKARZEM

Zamierzam napisać o jednym z głównych problemów mojego miasta, ponieważ je bardzo kocham i chciałabym, aby było ono wzorem dla innych województw, miast, gmin czy osad. Tą ważną sprawą jest budowa nowego szpitala. W szpitalu mają powstać bardzo ważne oddziały jak np. onkologiczny, kardiologiczny czy chirurgiczny. Źle się stało, że szpital nie jest usytuowany w najlepszym miejscu Tarnowa. Moim zdaniem powinien on powstać na Górze Marcina, gdzie jest dość czyste powietrze i naprawdę piękna okolica. Bardzo mnie ten problem nurtuje, ponieważ chciałabym, aby chorzy, którzy muszą przebywać w naszym szpitalu, czuli się dobrze. Ja sama w przyszłości mam zamiar podjąć pra-

KLUB TENISOWY W SUSZARNI

W naszym bloku jest suszarnia. Przed tygodniem wspólnie z kolegami wysprzątaliśmy ją i założyliśmy sobie klub do gry w tenisa. Niektórzy lokatorzy są bardzo zadowoleni z naszych pomysłów, ale inni skarżą się na nas, że nie mają gdzie wieszać bielizny. Powiedzieliśmy im, że kiedy będą chcieli powiesić bieliznę, złożymy stół. Zgodzili się z tym, a my jesteśmy im wdzięczni.

GRZEGORZ KMIEĆ

Program imprez w Tarnowie

26 maja godz. 13,00 otwarcie wystawy »Bawimy się ze „Światem Młodych"«. Zapraszamy wszystkich, którzy pisali o swoim mieście. Dla autorów najlepszych prac, wydrukowanych w „Świecie Młodych" czekają nagrody Szefa Ligi Reporterów. (gmach Tarnowskiej Chorągwi ZHP, ul. Słowackiego nr 3). Wystawa czynna do 1.VI. w godzinach 15,00–19,00.

26 maja, godz. 14,00 – otwarcie wystawy „Kwiaty Danuty Ireny Przybylskiej". (Pałac Młodzieży, ul. Słowackiego 11, sala Klubowa), Wystawa czynna do dnia 1.VI. w godzinach 16,00–19,00.

27.V. godz. 16,00 – spotkanie z Danutą Ireną Przybylską. (Sala Klubowa Pałacu Młodzieży).

28.V. godz. 16,00 – Spotkanie z Danutą Ireną Przybylską. Klub „Świata Młodych" (róg ul. Narutowicza i Drużbeckiej)

29.V. godz. 16,00 spotkanie z ludźmi morza w Klubie „Bosman" (róg Narutowicza i Drużbeckiej).

30.V. – 1.VI. – Spotkania z ludźmi morza w szczepach i szkołach.

31.V. godz. 11,00 Koncert zespołu „Dzieci Płocka" pn. »„Świat Młodych" – gospodarzem województwa.« (Hala Sportowa Pałacu Młodzieży ul. Gumniska).

1.VI. godz. 12,00 – Koncert zespołu „Dzieci Płocka". (Hala Sportowa Pałacu Młodzieży, ul. Gumniska). Dochód z koncertu przekazany zostanie na konto budowy „Daru Młodzieży".

1.VI. godz. 15,00 – Wielki Festyn prasy harcerskiej (tereny wokół Pałacu Młodzieży ul. Słowackiego).

Koniec, normalne życie się skończyło! Teraz, przez najbliższe dni i tygodnie, już tylko panika, gorączka i nerwy. Nerwy przede wszystkim, aż do obłędu. No bo czyż to nie jest istny obłęd?! Mam na myśli pogoń za jak najlepszymi stopniami za wszelką cenę.

I to wcale nie w wykonaniu tzw. kujonów bynajmniej. Owszem, kujon za stopniami jak najlepszymi goni, ale zawsze, bez względu na porę roku czy inną sytuację zewnętrzną. Teraz natomiast gorączka owa ogarnęła nagle niemal wszystkich, nawet tych, co w środku zimy w sprawie stopni machali lekceważąco ręką i jakaś przypadkowa dwójka (każdemu się może zdarzyć, no nie?!) wcale ich o palpitacje serca nie przyprawiała. Czym czerwiec bliżej tym bardziej zaczyna ludziom zależeć na piątkach od góry do dołu. Wbrew własnym dotychczasowym przekonaniom, wbrew potrzebie jakiejś obiektywnej, wbrew możliwościom wręcz. Np. taka Joanna. Urodzona matematyczka, dla której żadna fizyczna zagadka nie jest problemem, zaparła się, że z polskiego musi mieć na koniec roku minimum czwórkę. Och, Joannie dwója z niczego nie grozi, ale o ile z przedmiotów ścisłych ma piątki murowane, to z polskiego ma równie murowaną... tróję. I w moim przekonaniu nie ma szansy na nic więcej, bo jest... taka matematycznie zwięzła właśnie. W tej książce była mowa o tym i o tym. I koniec, i kropka. Żadne tam dalej poetyckie rozważania czy jakieś słowne esy-floresy. A nasza pani od polskiego właśnie takie różne esy-floresy szczególnie uważa. I Joanna postanowiła się tak właśnie przemawiać i pisać nauczyć. Pojęcia nie mam, po co jej to! W końcu przyjemność posiadania na świadectwie czwórki zamiast trójki (co wcale nie jest zresztą z góry pewne) nie jest chyba warta tych dwustu złotych, które jej rodzice płacą co drugi dzień panu korepetytorowi. Ja tam bym wolała nowe sztruksowe spodnie!

W ogóle okazało się, że tłum ludzi pobiera u nas różne korepetycje. Wcale dobrzy uczniowie też, a niektórzy, to niemal ze wszystkiego. Szkoda, że bardzo dobry z wuefu zależy tylko i wyłącznie od nienagannej na lekcjach frekwencji, bo sama mogłabym udzielać korepetycje, np. ze skakania przez kozioł z czym masa dziewczyn z naszej klasy ma kłopoty, i zarobiłabym kupę forsy!

Powiedziałam to Ulce, a ona się zgorszyła. Że kpiny sobie robię z poważnej sprawy i że za grosz nie ma we mnie ambicji. A to nieprawda! Zależy mi na dobrych stopniach z tych przedmiotów, które mnie szczególnie interesują. I mam je. Ale przecież nie sposób jest się „pasjonować absolutnie wszystkim! A że sobie rzeczywiście trochę kpię?!... No cóż, jakoś się trzeba bronić przed zbiorowym opętaniem!...

ANKA

WÓDZ MU-ZY-KI

Przeczytałem po raz drugi znakomitą książkę George'a R. Marka pt. „Beethoven", opatrzoną podtytułem „Biografia geniusza", a wydaną przez Państwowy Instytut Wydawniczy w cyklu „Biografie wielkich ludzi", o której chciałbym trochę napisać właśnie teraz, w majowe święto książki. Nie wiem, czy wydany przed trzema laty bestseller dostaniecie w ostatnią kiermaszową niedzielę, ale – może znajdziecie go w stoisku antykwarycznym? Może włoży go pomiędzy kryminały przygodny handlarz? A zdobyć i przeczytać tę książkę naprawdę warto. Autor zaznacza w przedmowie, że nie jest ona studium muzycznym, lecz portretem człowieka, który komponował muzykę i została napisana z nadzieją, że pomoże rzucić światło na artystę jako człowieka.

Popatrzmy zatem na Beethovena raz jeszcze oczami jego rodziców, znajomych, przyjaciół i George'a R. Marka. Kilkuletni Ludwik był podobno chłopcem wesołym, skorym do zabaw, psotnym. Lubił uderzać żelazną klamką okiennic, przysłuchując się ich „muzyce", uwielbiał być noszonym „na barana". Edukację muzyczną pod okiem ojca rozpoczął od wprawek na klawikordzie, potem grał piosenki, improwizował. Wreszcie 20 marca 1778 roku zadebiutował na estradzie. Zachowało się ogłoszenie tego koncertu. *„Dziś, 20 marca 1778 roku, w sali Akademii Muzycznej przy Sternengasse, tenor dworu elektorskiego, Beethoven (ojciec Ludwika), ma zaszczyt zaprezentować dwoje swych uczniów, a mianowicie Mlle Averdonc i swego sześcioletniego syna... Syn tenora wykona na klawikordzie koncerty i tria, którymi, jak sobie pochlebia, zdoła zadowolić w pełni wszystkich członków dostojnego towarzystwa."* Mark zwraca uwagę na podany w ogłoszeniu wiek Ludwika – sześć lat. Otóż młody geniusz miał wtedy lat osiem, ale... *„żaden ojciec nie podaje prawdziwego wieku cudownego dziecka"*. Ludwik dawał sobie radę z alfabetem gotyckim, łaciną, francuskim i włoskim, gorzej było z ortografią i arytmetyką (na próżno próbowano go nauczyć tabliczki mnożenia). Grał jednak i komponował coraz lepiej. Zaczęto o nim mówić i pisać nie tylko w rodzinnym mieście. Pochlebną rekomendację pióra jego nauczyciela Neefego można znaleźć w raporcie dotyczącym spraw muzyki, zamieszczonym w czasopiśmie „Magazin der Muzik". *„Louis van Beethoven, chłopiec jedenastoletni, którego talent największe budzi nadzieje, gra na klawikordzie z wielką znajomością rzeczy i siłą, czyta nuty bardzo biegle... Ten młodociany geniusz zasługuje na pomoc, która by mu umożliwiła podróże. Jeśli nadal szedł będzie tą drogą, na jaką wstąpił, bez wątpienia zostanie drugim Wolfgangiem Amadeusem Mozartem"*.

Beethoven około roku 1806. Miał wtedy 36 lat

A jak wyglądał 14-letni Ludwik? Był silnie zbudowany, niski, miał szerokie ramiona, krótką szyję, wielką głowę i ciemną cerę, przez co zyskał przezwisko „der Spagnol" (Hiszpan).

7 kwietnia 1788 roku Beethoven po raz pierwszy przyjechał do Wiednia, ówczesnej stolicy muzyki, gdzie mieszkał Wolfgang Amadeus Mozart. Spotkanie obu muzyków, zdobywającego dopiero popularność Beethovena i sławnego Mozarta, jedyne zresztą, wyglądało mniej więcej tak... *„Beethovena zaprowadzono do Mozarta, gdzie na własną prośbę zagrał mistrzowi coś, co ten ostatni potraktował jako niewątpliwy kawałek popisowy przygotowany na tę okazję, i przyjął dość chłodno. Widząc to, Beethoven poprosił go o temat do improwizacji. Zawsze grał zachwycająco, kiedy był podniecony, zagrał więc tak, że Mozart, słuchając coraz uważniej i z coraz to większym zainteresowaniem, na koniec wyszedł po cichu do grupy przyjaciół i powiedział ożywiony: nie traćcie z oczu tego chłopca, któregoś dnia zadziwi on świat..."*

Po raz drugi zjawił się Beethoven w Wiedniu 10 listopada 1792 roku. Tym razem zależało mu na wizycie u Józefa Haydna, którego poznał był jeszcze w Bonn. Haydn młodzieńca przyjął, zgodził się nawet udzielać mu lekcji muzyki. Wymagającym nauczycielem podobno nie był, ale widział dobrze z kim ma do czynienia, o czym świadczy ten oto fragment listu, odnalezionego niedawno, trzy lata temu... „posyłam parę utworów ukochanego ucznia Beethovena, którego tak łaskawie mi polecono. Na podstawie tych utworów zarówno znawca, jak amator musi przyznać, że Beethoven stanie się z czasem jednym z największych muzyków Europy i będę dumny mogąc się nazwać jego nauczycielem".

Symfonii, jak wiecie, skomponował Beethoven dziewięć. Największą popularność zyskały III, V, VII i IX, a więc z numerami nieparzystymi. Czy wiecie, którą z nich najbardziej lubił sam kompozytor? Trzecią, w tonacji Es-dur – „Eroicę". A przyjęto to wielkie dzieło bynajmniej nie entuzjastycznie, o czym świadczy recenzja w „Allgemeine Muzik Zeitung"... *„Symfonia jednak gubi się często w rozpasaniu... Krytyk zalicza się do najszczerszych wielbicieli pana van Beethovena, ale wyznać musi, że w tym utworze znajduje wiele rzeczy rażących i dziwacznych, które wielce utrudniają rozumienie całości, przy czym gubi się niemal zupełnie poczucie jedności".* Publiczność i krytycy docenili „Eroicę" dopiero w kilka lat po jej pierwszym publicznym wykonaniu. Ze zgoła innym przyjęciem spotkała się ostatnia, IX symfonia. Po jej zagraniu sala rozbrzmiewała owacjami, wszyscy wstali, klaskano, tupano nogami, powiewano chusteczkami – tylko, tylko... Beethoven już nic nie słyszał. Cytowana wyżej w „Allgemeine Musik Zeitung" pisała tym razem o „okrzykach zachwytu rwących się do mistrza z przepełnionych serc".

Ten fragment recenzji znajdziecie na 578 stronie książki George'a R. Marka. Na pozostałych – stron jest prawie 700 – rozdziały: ostatnie lata, ostatnie miesiące, wódz muzyków – dalej: notę o zeszytach konwersacyjnych, kalendarium, wykaz osób, które odegrały jakąś rolę w życiu Beethovena.

Jeszcze raz zachęcam do przeczytania tej arcyinteresującej książki o genialnym muzyku i interesującym człowieku, który *„dla milionów mężczyzn i kobiet wszystkich narodowości jest wodzem w świecie muzyki."*

Redaguje LECH NOWICKI

FESTIWALE, FESTIWALE

Rozpoczął się sezon festiwalowy. Nie tylko u nas, ale na całym świecie organizowane są mniejsze i większe, mniej ważne i liczące się imprezy zwane festiwalami. I tak w czerwcu odbędzie się XVI Międzynarodowy Festiwal Piosenki ZŁOTY ORFEUSZ w Słonecznym Brzegu, gdzie jedzie Hanna Banaszak. Od 23 do 27 czerwca trwać będzie największy krajowy festiwal piosenki w Opolu, wcześniej, w Zielonej Górze spotkają się najlepsi wykonawcy piosenki radzieckiej. Z innych festiwali zaplanowanych na czerwiec warto wymienić dwa jazzowe: w Montreux i Ljublianie oraz Międzynarodowe Targi Muzyczne EXPOFEST w Splicie, gdzie wysyłamy Czesława Niemena (na zdjęciu). Lipiec to przede wszystkim: POP SESSION – mówi się, już po raz któryś, że przyjedzie Uriah Heep, Międzynarodowy Festiwal pod nazwą CZŁOWIEK I MORZE w Rostocku i Brytyjski Światowy Festiwal Piosenki w Brighton, także z udziałem z naszej strony Czesława Niemena. Dalej – Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, Nadbałtyckie Spotkanie Jazzowe JAZZ JANTAR oraz dwa festiwale jazzowe: w San Sebastian i Pori. W sierpniu śpiewać będziemy poezję w Olsztynie oraz fetować XX festiwal sopocki, w zmienionym, telewizyjnym kształcie dopiero IV. Regulamin tej wielkiej imprezy nie uległ zmianie; będą dwa konkursy – organizacji telewizyjnych (jury ocenia wykonawców) i wytwórni fonograficznych (jury ocenia zestawy piosenek).

Fot. **K. Dzikowski**

ANNA

„...Jeszcze do dziś nie mogę uwierzyć, że jej nie ma. Kręci się w oku łza, kiedy słucham nagrań Ani i oglądam album Jej poświęcony. Przypominam sobie chwilę, kiedy byłam z Nią razem i prosiłam o autograf – była cudowna. Od razu można było odgadnąć, że jest osobą, która kochała wszystko: rodzinę, swoją pracę, że każdego potrafiła zrozumieć..."

Lidka Ostrowska z Chrzanowa

„Była moim zdaniem najlepszą polską piosenkarką i choć nie żyje, nadal nią będzie..."

Beata Kopacz ze Szczecina

„Bardzo długo, bo prawie osiem lat, należałam do grona najgorętszych wielbicieli Anny Jantar. Przez ten cały czas zbierałam wszystko, co było o Niej. Jej wszystkie piosenki bardzo mi się podobały za swą prostotę, bezpretensjonalność. Gdy się dowiedziałam o Jej śmierci, przejęłam się bardzo. Wstrząsnęło mną to do głębi, bo przecież Ona była tak młoda. Kilka dni płakałam, a gdy się trochę uspokoiłam, napisałam o niej wiersz..."

Katarzyna Godycka z Warszawy

Spiewała piosenki, których ludzie chętnie słuchali. Nie tylko dlatego, że były prawdziwymi przebojami. Słuchali ich dlatego, że śpiewała je Ona – ich wykonawczyni. Jej nagrania z lat 1978–80 były coraz ciekawsze, dojrzalsze, mądrzejsze. Nigdy nie śpiewała „pod" publiczność, „pod" jury, „pod"... Śpiewała dla siebie i od siebie. Po prostu...

Zadebiutowała na scenie studenckiej, najpierw jako pianistka, potem jako piosenkarka. Zdobyła wyróżnienie na Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie (1968), otrzymała nagrodę za interpretację na FAM-ie (1969). Dwa lata współpracowała z „Wagantami", z którymi nagrała swój pierwszy wielki przebój „Co ja w tobie widziałam". Jako solistka zdobyła popularność piosenką „Najtrudniejszy pierwszy krok", którą ugruntowała przebojem nad przeboje „Tyle słońca w całym mieście". Nagrywała dla radia i telewizji, śpiewała w Opolu, Kołobrzegu i Sopocie, zdobywała laury na zagranicznych festiwalach w Castlebar i Villach. Jej płyty nie zalegały sklepowych półek. Kupowali je młodzi i starzy, początkujący i zaawansowani melomani. Słuchali „Tylko mnie poproś do tańca", „Nie wierz mi, nie ufaj mi", „Nic nie może przecież wiecznie trwać", słuchali...

TECHNIKUM I ZASADNICZA SZKOŁA BUDOWLANA SZCZECIŃSKIEGO ZJEDNOCZENIA BUDOWNICTWA

72-600 Świnoujście, ul. Gdyńska 26, tel. 27-61 przyjmują w roku szkolnym 1980/81 uczniów do klas pierwszych.

Zasadnicza Szkoła Budowlana uczy następujących zawodów:

- monter wewnętrznych instalacji budowlanych – kierunek 2-letni dla chłopców 15-letnich i starszych
- malarz – kierunek 2-letni dla chłopców i dziewcząt 15-letnich i starszych
- elektromonter – kierunek 3-letni dla chłopców i dziewcząt 15-letnich i starszych
- murarz – kierunek 2-letni dla chłopców 15-letnich i starszych
- betoniarz-zbrojarz – kierunek 2-letni dla chłopców 15-letnich i starszych
- przysposabiająca do pracy w budownictwie – kierunek murarz dla chłopców 15-letnich i starszych po 6-klasie szkoły podstawowej.

Technikum Budowlane dla Pracujących przyjmuje zapisy absolwentów Zasadniczych Szkół Budowlanych. Nauka w Technikum trwa 3 lata.

Uczniom zamiejscowym szkoła gwarantuje miejsce w internacie.

Warunkiem przyjęcia do ZSB jest złożenie podania, świadectwa ukończenia szkoły podstawowej, zaświadczenia lekarskiego o przydatności do obranego zawodu, zgody rodziców (opiekunów) oraz 4 fotografii.

Termin składania dokumentów upływa ostatecznie 31.VIII.1980 r.

W czasie trwania nauki wszyscy uczniowie otrzymują:

- wynagrodzenie w zależności od wieku i klasy: w klasie I od 240 do 520 zł, w kl. II – od 480 do 2.000 zł i do 20% premii kwartalnej oraz w kl. III – ok. 2.000 zł i 20% premii kwartalnej,
- bezpłatne umundurowanie o wartości 2.000 zł
- bezpłatne podręczniki
- całodzienne bezpłatne posiłki regeneracyjne (drugie śniadania)
- legitymacje na 33% zniżkowe przejazdy koleją.

Ponadto uczniowie korzystają z funduszu nagród, funduszu mieszkaniowego i socjalnego.

Ukończenie ZSB gwarantuje dobrze płatną pracę w swoim przedsiębiorstwie. Najlepsi absolwenci mogą być kierowani na budowy zagraniczne.

K-24

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Radzę rozwiązać koniecznie zadanie z tajemniczym numerem telefonu, a także geometryczne zadanie o rozciętym kwadracie. Tym, którzy lubią mówiącego kruka, zapowiadam: wkrótce nowa zagadka. A teraz – do dzieła; spotkamy się w przyszłą sobotę!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

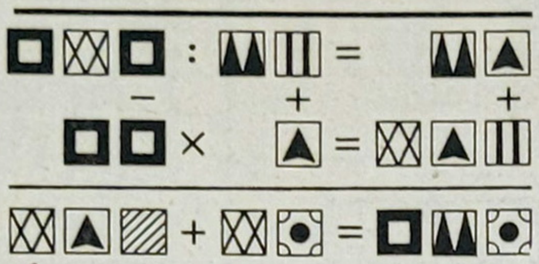

TAJEMNICZE DZIAŁANIA

W tym układzie rysuneczków zaszyfrowane są matematyczne działania na liczbach. Każdy rysuneczek – to jedna cyfra. Powtarzające się w tym układzie takie same rysuneczki oznaczają powtarzające się takie same cyfry. Działania wykonujemy – zgodnie z ich znakami – zarówno w kierunku poziomym, jak i pionowym. A więc – liczyć i podstawiać pod rysuneczki odpowiednie cyfry! Pomyślności!

ZADANIE-BŁYSKAWICA

Jak napisać zero używając do tego trzech piątek?

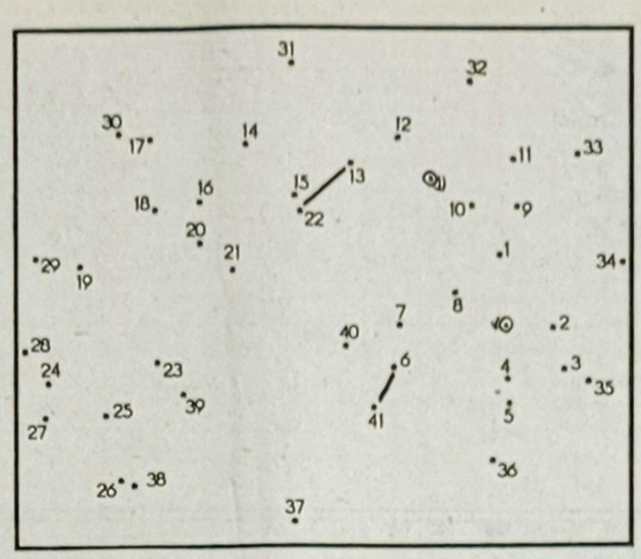

41 PUNKTÓW

Gdy już rozwiążesz wszystkie pozostałe zadania dzisiejszego wydania Abrakadabry, weź do ręki długopis lub ołówek i starannie połącz liniami kolejne punkty oznaczone numerami od 1 do 41. Jeśli nie będziesz pewny swego rozwiązania, znajdziesz prawidłowe w numerze za tydzień.

KWADRAT

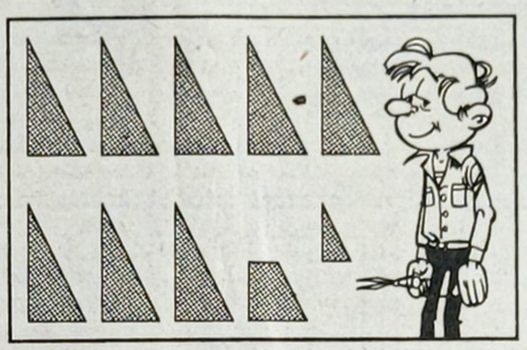

Gdzie ten kwadrat? – zapytasz. Otóż kwadrat był, ale Piotruś rozciął go na dziesięć kawałków, które prezentuję Ci na rysunku. Zastanów się spokojnie i bez pośpiechu, jak można znów zbudować z tych części rozcięty przez Piotrusia kwadrat. Uprzedzam: wolno użyć do konstruowania każdą część tylko jeden raz i wszystkie części muszą być użyte. Jeśli solidnie poruszysz głową, uda Ci się ta sztuka bez wątpienia. Radzę posługiwać się przy rozwiązaniu rysunkiem, który najlepiej wykonać na kratkowanym papierze.

TEATR CIENI ABRAKADABRY

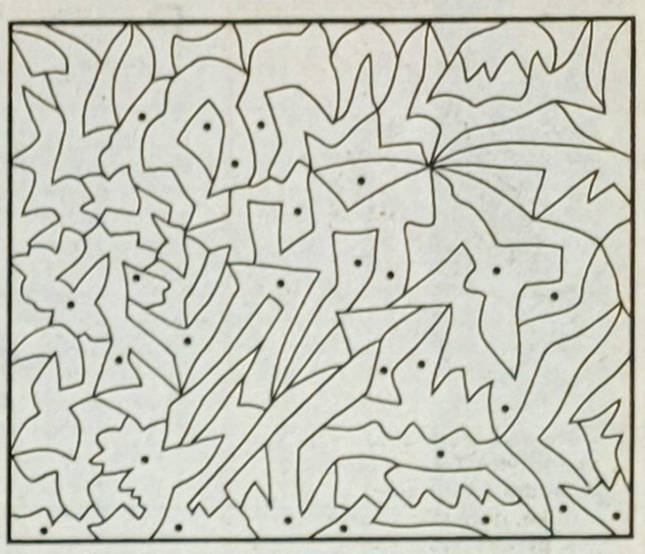

Popatrz na ten rysunek i postaraj się wyodrębnić wzrokiem te jego części, które oznaczono kropkami. Czy układają Ci się one w jakąś całość – wizję? Następnie weź ołówek lub mazak i zamaluj dokładnie i starannie tylko te obszary z kropkami. Oto i masz rozwiązanie.

Tę łamigłówkę nazwaliśmy teatrem cieni Abrakadabry.

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

$$\begin{array}{ccc} 37-23=14 \\ + \quad + \quad + \\ 79-41=38 \\ \hline 116-64=52 \end{array}$$

CZY ISTNIEJE TAKA LICZBA?: takich liczb jest nieskończona ilość; najmniejsza – to 58. ZADANIE-BŁYSKAWICA: oto kilka możliwości. $31 = 3^3+3+\frac{3}{3}$; $31 = 33-3+\frac{3}{3}$ $31 = 33-\frac{3+3}{3}$. TRZEMA LINIAMI i TAJEMNICZE DZIAŁANIA: rozwiązania obok.

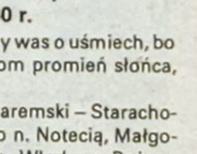

NUMER TELEFONU

Jeden z moich przyjaciół podał mi w ten sposób numer swego telefonu: „Suma tych sześciu cyfr równa się 30. Cyfry czwarta, piąta i pierwsza są odpowiednio dwa, trzy i cztery razy większe od drugiej cyfry. Cyfry trzecia i szósta tego numeru są jednakowe." Jaki numer mam wykręcić, by porozmawiać przez telefon z moim przyjacielem?

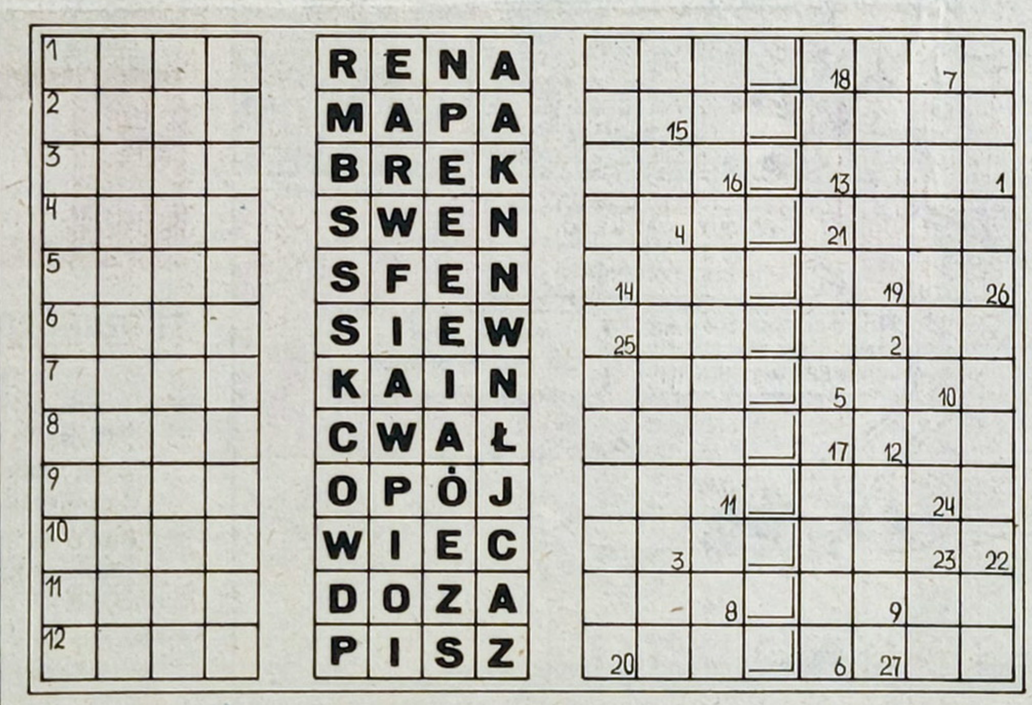

Zadanie premiowane nr 287

ANAGRAMÓWKA

Odgadnij wyrazy 4-literowe o podanych znaczeniach i wpisz je do lewego diagramu. Następnie, przestawiając litery w każdej parze wyrazów z lewego i środkowego diagramu, ułóż słowa 8-literowe i wpisz je do prawego diagramu. Litery w oznaczonej kolumnie utworzą imię i nazwisko pisarza – początek rozwiązania, którego dokończenie (tytuły czterech utworów) powstanie po napisaniu liter z kratek ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 27.

Rozwiązanie napisz na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 287".

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) cztery w kwadracie, 2) jama, 3) gruby sznur, 4) kupowane w aptece, 5) gdacze, 6) przepływa przez Olsztyn, 7) imię Gojawiczyńskiej lub Raksy, 8) wytłaczane z owoców lub warzyw, 9) bogini zwycięstwa (jej pomnik na placu Teatralnym w Warszawie), 10) okrywa pnie drzew, 11) przeciwieństwo zbytu, 12) stolica Ghany.

Dla ułatwienia podajemy pierwsze litery wyrazów 8-literowych (w kolejności alfabetycznej): B, F, K, K, N, N, P, P, P, S, W, W.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 282
z 50 numeru „Świata Młodych"
z dnia 26.04.1980 r.

Prawidłowe rozwiązanie: Prosimy was o uśmiech, bo uśmiech jest potrzebny, jak kwiatom promień słońca, jak ptakom lot podniebny.

Nagrody wylosowali: Grzegorz Charemski – Starachowice, Krystyna Gaitkowska – Nakło n. Notecią, Małgorzata Glacel – Toruń, Dariusz Jóźwik – Włodawa, Bożena Majka – Mokrzyska, Renata Mączka – Okrzeja, Romuald Ptok – Piekary Śl., Małgorzata Sidor – Wojtkówka, Sławomir Siurnicki – Nowogród Łomżyński, Dariusz Waśkiewicz – Grudziądz.

– Boisz się, kiedy jesteś sama?

– Nie, teraz nie. Kiedyś się bardzo bałam, ale wtedy chodziło o to, że nie wolno było otwierać drzwi, przestawałam się bać dopiero, jak wracał Andrzej, tylko że było to bardzo dawno. I wcale nie było takie same.

– Jeżeli się nie boisz, to o co chodzi? Nie lubisz, żeby było cicho?

– Lubię. Tylko mnie się tutaj teraz czasem wydaje, że już nie ma nikogo, że na całym świecie zostałam ja sama, i chciałabym krzyczeć, i...

Róża urywa, nie wyjaśni niczego, szkoda czasu. Żeby móc zrozumieć, trzeba być zamkniętym w białym pokoiku na poddaszu, w dręczącej ciszy, i żeby za okna była noc, czarne gałęzie za szybą, w prześwicie nieba mrugająca samotna gwiazda, i żeby wtedy myśleć w tym wielkim milczeniu – tak, wtedy można zrozumieć.

– Chciałabym wiedzieć, co tam w ogóle jest.

– Gdzie?

– W tamtym domu.

– A co ma być?

– Właśnie nie wiem.

Nadpłynął chłopczyk na czerwonej kaczce, ułapiwszy ptaszysko za szyję i wiosłując energicznie stopami. Po prostu się wyczuwało, że maluch puchnie z dumy, kiedy pruje gładką powierzchnią wody. Pewnie dzisiaj odkrył, że nadmuchiwany ptak może służyć do pływania.

– Chyba pójdziemy na karuzelę – wyżyma mokre włosy, wstaje z betonowej krawędzi. – Zdaje mi się, że się czegoś domyślam. Później ci powiem, czego. A teraz muszę lecieć na obiad.

* * *

Dzień, w którym blada pani podniosła się z łóżka, zaczął się jakoś zupełnie niezwykle. Tego ranka za oknem gwizdała wilga głośno i wesoło, usadowiwszy się na gałęzi przy samym oknie. Nalewając wodę do miednicy, Róża uśmiechała się do cytrynowego ptaka i do jego zadzierżystej gwiazdki. Na niebie topniały obłoczki pod dotknięciem słonecznych promieni, aż cały widnokrąg zalśnił niepokalanym błękitem.

Nigdy tak szybko słońce nie spiło nocnej rosy z liści, nie rozjarzyło się w górze taką jasnością, i nigdy ptak nie śpiewał o wyciągnięcie ręki, bez lęku przed ogromnym potworem kręcącym się między ścianami pokoju. Gdy Róża wychyliła się, wilga przefrunęła na sąsiednie drzewo, stamtąd dalej wygwizdywała swoje zwrotki. A na dole, przed rumowiskiem schodów, gorzały oranżem nagietki, pyszniły się mnogością kwiatów dalie i wdzięczyły lwie pyszczki.

– Cześć – zamachała im ręką. – Fajnie wyglądacie. – Podleję was, jak pani Natalia wyjdzie.

Długo szczotkowała włosy przed lustrem, pięćdziesiąt pociągnięć szczotką pod włos i następne pięćdziesiąt z włosem, tego ranka włosy jednak nie chciały ulec energicznym pociągnięciem i stroszyły się buntowniczo nad opalonym czołem.

To jest dzień na sukienkę – zdecydowała roztrzepując kwieciste fałdy. Poranek był tak odświętny, tak oślepiająco jasny i wesoły, że po prostu wymagał dodatkowego podkreślenia.

Uchyliła drzwi na strych. W wąskich smugach światła tańczyły drobiny kurzu, jasna plama wydobyła z mroku puszystość aksamitu zmatowiałego jedwabiu, tajemniczo lśniły okucia kalekich mebli. Nawet tu było weselej i mniej ciemno niż każdego innego dnia.

Od tamtej nocy, kiedy po raz ostatni zamknięto Różę, nikt już nie przekręcił klucza w zamku z drugiej strony drzwi. Co więcej, Róża dostała ten klucz od starego pana.

– Masz, Różyczko. Najlepiej będzie, jeżeli ty sama nim zadysponujesz – na obrusie legł klucz, duży i ciemny, z rzeźbionym uszkiem. – Nie chciałbym, żeby się kiedykolwiek powtórzyła podobna sytuacja.

Nie wyjaśnił, jaka sytuacja, ale rozumiało się samo przez się, że miał na myśli zgubienie klucza przez przygarbioną Natalię.

– Kiedy się nic takiego nie stało...

Przesuwając klucz w stronę Róży, stary pan odezwał się z namysłem:

– Nic jest pojęciem względnym. A coś się jednak stało, tylko że coś zupełnie innego, niż przypuszczam. W każdym razie wolimy, żebyś więcej nie przeżywała tego rodzaju niespodzianek.

Nie bardzo wiedząc, co począć z tym fantem, Róża najpierw powiesiła klucz na gałce łóżka, później, ponieważ denerwował ją widok czarnego klucza w bieli pokoju, schowała go do torby. Odda, jak będzie wyjeżdżała, na pewno nie zabierze ze sobą, bo po co?

Cdn.

W TYM MIEJSCU ZACZYNA SIĘ:
ANTRESOLKA PROFESORKA NERWOSOLKA
(oraz jego gospodyni, Entomologii Motylkowskiej)

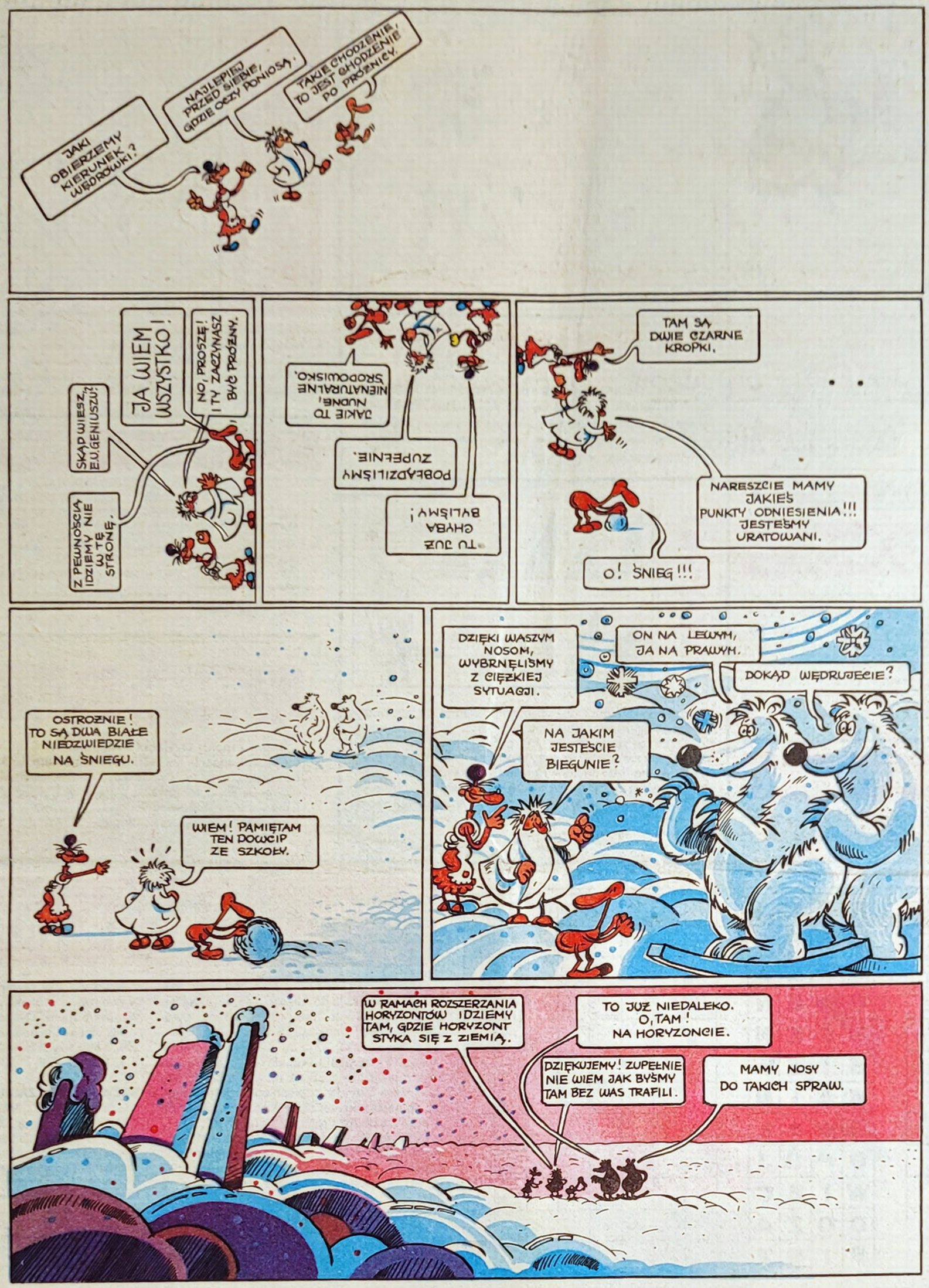

ODC. 19
tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red.naczelny 21-15-61
Sekr.redakcji 28-25-48
Dział Łączności
z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA–RSW Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Szarlota Paweł

Opracowanie techniczne
Małgorzata Waś

DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 3110/G

O-39

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- Uwaga, uwaga! Rozpoczynamy na łamach „ŚM" serię artykułów poświęconych domniemanej wizycie kosmitów na naszej planecie – „Z powrotem na Ziemię".
- „Patrz na Tarnów" – rozmowa z tow. Janem Sokołowskim, I sekretarzem KW PZPR w Tarnowie.
- W naszym Domu Mody – już wakacje. Więc odwieczny problem: co zabrać?!

DZIEŃ, NOC I PORA NICZYJA

EWA NOWACKA

39

– Pytałam panią Natalię o moją mamę.

– I co?

– Głupio wyszło. A ja się nazywam Róża dlatego, że tamta stara pani ma tak na imię.

Ciągnąc za szyję nadmuchiwaną kaczkę, mały chłopczyk zapuszcza się na głębinę.

– Już cię tu nie ma, mały! – to do chłopczyka, a później do Róży: – Masz coś na dzisiaj w planach? Pomóc ci?

Dobrze jest mieć kogoś, na kogo można liczyć, tylko że istnieją sprawy, w których nie może pomóc nawet najlepszy przyjaciel. Bo może dać spokój, zostawić sprawy ich własnemu biegowi. Czemu zstępować do świata, który od dawna nie istnieje, wskrzeszać sprawy zasypane pyłem zapomnienia? Róża nie ma nic wspólnego z tamtym światem, żyje, istnieje, śmieje się, chodzi do szkoły – tutaj, gdzie są zupełnie inne zagadki, gdzie czekają na odpowiedź inne pytania, gdzie zawsze świeci słońce, nawet w najchmurniejszy dzień błyśnie chociaż na moment przez zbite prządziwo chmur.

– Nie mam na dzisiaj żadnych szczególnych zamiarów. A ty?

– Myślałem o wesołym miasteczku. Przyjechało coś takiego. Lubisz się kręcić na diabelskim młynie?

Przez chwilę Róża czuje ukłucie w sercu. Zajada lody, pływa, gra w siatkówkę, ogląda filmy, będzie się kręciła na karuzeli, podczas gdy mieszkańcy tamtego domu żyją w stałym mroku, wsłuchani w coś niesłyszalnego dla nikogo poza nimi, wpatrzeni w coś, czego nie dostrzega nikt, tylko oni. I Róża, rozumiejąc to, chce się śmiać, pływać żabką i cieszyć się na porcję bakaliowych lodów z kawiarni w rynku. Czy ma prawo? Czy w ogóle wolno jej tak postępować?

– Wiesz, z tym diabelskim młynem jakoś nie tak...

Chociaż nie potrafi wytłumaczyć jaśniej, Marek domyśla się tego, co chciała powiedzieć. Potrząsa przecząco głową.

– Że niby będzie ci za wesoło? No i bardzo dobrze. Zrobiłaś, co mogłaś i masz prawo do wesołego miasteczka. Czy myślisz, że coś zmienisz siedząc w swoim pokoju?

– Zrozum, to by było tak, jakbym nic nie wiedziała.

– Ale przyszłaś na pływalnię. I w kinie też byłaś.

– To był wojenny film.

– A pływalnia?

Po krótkim milczeniu Róża się poddaje.

– Bo gdybym mogła posprzątać albo coś kupić... A tak jestem jakby nikomu niepotrzebna. Czasami mi się wydaje, że na dole nikogo nie ma, jest strasznie cicho, prawie słyszę, jak pająki przędą sieci na strychu.

– Z tymi pająkami chyba lekka przesada.

– Ale z ciszą nie. Nigdy nie słyszałam takiej ciszy. U nas, w bloku, nigdy nie jest cicho, nawet kiedy nikogo nie ma w domu. Zza ściany słychać, jak płacze dziecko, szczeka pies, gra magnetofon, ktoś rozmawia na klatce schodowej, jeździ winda, trzaska zsyp na śmieci...

Zanurzywszy w wodzie bosą stopę, podniosła ją i uważnie patrzyła na skapywanie przezroczystych wodnych drobinek.

– Mówi się „cicho jak w grobie", prawda? To jest coś takiego. I ja wtedy otwieram na oścież okno, żeby wiedzieć, że ciągle jeszcze wiatr wieje i szumią liście. A w ogóle to nie mogę tego wytłumaczyć.

Dokończenie na str. 7